Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

KLĘSKA.

Pusto i żałobnie w naszych pięknych kniejach, na niwach naszych; zdawałoby się, że mór, dławiącą wszelkie życie stopą swoją nastąpił na nie. Nawet ożywcze tchnienie wiosny, rozkosznie łechcące nasze piersi, nie rozbudzi w nich życia, bo nie wskrzesi ofiar, które znikający pod tem tchnieniem ciężki całun zimowy powoli nam odsłania w całej grozie.

Klęska jest rzeczywiście straszna; nie przesadzimy, twierdząc, że złowrogi kłusownik w przyrodzie: mróz ze śniegiem, w ostatnim tym sezonie pracował za trzy sezony i wziął nam trzy czwarte zwierzostanu.

Poszedł na marne owoc kilkuletnich mozolnych zabiegów myśliwego-gospodarza, który z głębokim żalem liczy teraz ofiary. Więcej do cieni niż do żywych istot podobne błąkają się jeszcze po lesie lub w polu luźne okazy sarn, zajęcy, kuropatw — to ostatnia jego nadzieja na przyszłość.

Nadziei tej się nie wyrzekajmy — ale też w pełnej świadomości położenia powiedzmy sobie, że jest ono bardzo poważne. Ze zdwojoną tedy usilnością pracujmy teraz dla powetowania tej ciężkiej straty, a klęska tegoroczna niech będzie punktem wyjścia prawdziwie racyonalnej i jak najgorliwszej gospodarki łowieckiej w kraju. Zespólmy w tym celu wszystkie swoje zabiegi, korzystając przedewszystkiem z fachowych wskazówek, jakie celem osiągnięcia jednolitej akcyi poda główny przedstawiciel interesów myśliwskich w kraju: galicyjskie Towarzystwo łowieckie; popierajmy czynnie na każdym kroku jego dążności, a skutek nie chybi z pewnością.

W szeregu zarządzeń, jakie właśnie Wydział wspomnionego Towarzystwa, w uznaniu tyle trudnego przesilenia w gospodarstwie łowieckiem, wydał na wiadomość o klęsce zimowej, na pierwszem miejscu kładziemy fakt odwołania się do Władz duchownych i cywilnych, do światłego Nauczycielstwa i wszystkich dobrej woli Ziemian w kraju, aby wpływem swoim i powagą ochraniali tegoroczny lęg wiosenny użytecznej zwierzyny od wszelkich szkodników. Odwołania się tego, niejako do uczuć obywatelskich i ludzkich całego kraju, dopełnił Wydział następującą

Odezwą:

Niezwyczajnie ostra zima ostatnia, przez trzy miesiące bez przerwy trwające mrozy, a jeszcze bardziej zamiecie śnieżne i sążniowe zaspy, wreszcie gwałtowna w następstwie rozciecz wiosenna, pod niejednym względem ciężko się dały we znaki gospodarstwu krajowemu — bez wątpienia jednak najdotkliwiej gospodarce łowieckiej.

Z najrozmaitszych okolic kraju dochodzą prawdziwie hiobowe wieści o niebywałej klęsce w zwierzostanie najbardziej nawet zaszanowanych i pod gorliwą a umiejętną opieką zostających rewirów, z czego dopiero wnosić można o ogromie szkody tam, gdzie gospodarka łowiecka jest niedostateczną, albo też wcale zaniedbaną, a pod czem rozumieć należy nietylko znaczną część obszarów dominialnych, lecz prawie wszystkie terytorya gminne, czyli innemi słowy: dziewięć dziesiątych obszarów całego kraju.

Aby dać miarę cierpień, jakie zwierzyna leśna i polna przebyła w ciągu tej prawdziwie syberyjskiej zimy, tudzież następstw tych cierpień i niedostatku, dość przytoczyć fakt, że liczne ofiary padały nietylko w rodzie wątłych sarn i drobnej zwierzyny użytecznej, jak zając i kuropatwa, lecz że w wielu kniejach znajdowano nieżywe dziki, które uległy wycieńczeniu i głodowi.

Wspomnione wyżej doniesienia, przesłane podpisanemu Wydziałowi galic. Towarzystwa łowieckiego, malując położenie jako rozpaczliwe, domagają się zarazem od Wydziału, jako przedstawiciela powołanej do tego i przez Wys. Władze sankcyonowanej instytucyi krajowej, jak najrychlejszej i jak najskuteczniejszej akcyi celem ratowania jeszcze owych niedobitków pogromu zimowego, które przetrwać zdołają do wiosny, pory lęgu i pomiotu zwierzyny. Jeżeli bowiem i w tej porze wycieńczone i schorzałe mieszkańce pól i lasów naszych nie dostąpią opieki człowieka, lub co gorsza, będą niepokojone i prześladowane przez chciwość albo karygodną lekkomyślność ludzką, to zaiste gaje i niwy nasze opustoszeją zupełnie, a gałąź ta gospodarki krajowej zmarnieje doszczętnie.

Nie wątpimy ani na chwilę, że każdy prawdziwy myśliwy w kraju, każdy gospodarz-obywatel, w tem ciężkiem przejściu naszej gospodarki łowieckiej, jak najsumienniej spełni swój obowiązek, otaczając troskliwą opieką a mianowicie zarządzeniem odpowiednich środków krzepiąc zbiedzoną zwierzynę użyteczną. Niemniejszą wszakże zasługę położy także ten, czy to Kapłan, czy Nauczyciel dziatwy wiejskiej, czy też Naczelnik gminy lub prawy Ziemianin, który w tej krytycznej porze wpływem swoim i zabiegami powstrzyma zbrodnicze zapędy kłusownika, lub równie naganne zapędy szkodnika i psotnika wiejskiego, chwytającego młode zające, oraz wybierającego z gniazd jaja i pisklęta.

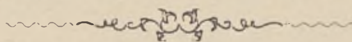
W imię tedy zarówno dobra krajowego, jako też ludzkości, odzywamy się niniejszem do naszych zacnych przewielebnych Duszpasterzy, do naszych światłych Kierowników młodzieży wiejskiej i szanownych Naczelników gmin — wreszcie do wszystkich przyjaciół przyrody i dobrej woli obywateli, z gorącą prośbą, aby zarówno z Ambony jak i z Katedry nauczycielskiej, z Urzędu gminnego czy w stosunkach sąsiedzkich, przestrogą, radą i przykładem oddziaływać raczyli w duchu niniejszej odezwy na umysły ludności wiejskiej, a szczególniej młodzieży, czem rzeczywistą oddadzą usługę nietylko dobru krajowemu, ale samejże ludności owej i młodzieży: tym przyszłym gospodarzom i obywatelom.

Z Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

We Lwowie 21. marca 1888.

Bronisław Komorowski, *Referent Wydziału.*

Stefan** hr. **Szembek, *Zastępca Prezesa.*



Z ubiegłej zimy.

Ludy głębokiej Północy liczą swój wiek nie na lata, tylko na zimy. „Tyle a tyle przeżyłem zim“, odpowiada zapytany o wiek Eskimos. Nie dziwić się temu, jest to już w ogóle zwyczajem człowieka, dłużej pamiętać złe, niżeli dobre; a zima, mimo wszelkich (jak dla kogo) przyjemności, do uroczych wspomnień bynajmniej nie należy. Ostatniej zimy spadły niezapamiętane śniegi. Nawet duże śniegi w roku 1853, ani w połowie nie były tej, co w tym roku obfitości. Zwierzyna łowna wyszła z owej zimy mocno zbiedzona: ileż jej wszelkiego rodzaju drapieżców łatwą stało się zdobyczą! Była to prawdziwa biesiada wilków, lisów, rysiów i żbików, które zdziesiątkowały sarny i zające, nie przepuszczając nawet jeleniom w beskidowych ostępach; wreszcie psów wiejskich, które zające w „miejscu“ wydusiły, i nakoniec — kłusowników.

Przepraszając za małe zboczenie, pozwolę sobie przytoczyć przykład, którego sam doświadczyłem. W zimie roku 1853, obaj ze ś. p. ojcem moim wybraliśmy się na polowanie z chartami. Śnieg był duży i sypki, więc wytropienie zająca bardzo łatwe. Chartów z powodu wielkiego śniegu nie sposób było prowadzić na smyczy, więc ślad w ślad kroczyły za końmi, co im ułatwiało pochód. Pomknął zając — wnet jednak po same „słuchy“ zapadł w miałkim śniegu. Ścigające charty straciły go z oczu, co widząc, zeskoczywszy z konia, za słuchy wyciągnąłem z zaspy w niebogłosy „kniaziającego“ szaraka. Owego

dnia charty po kilku skokach „wzięły“ 6 zajęcy. Temu losowi ulega zając gdy śnieg jest duży a miałki. Przeciwnie, gdy powierzchnia śniegu twardą pokryje się skorupą, ni go wytropić, bo tropów nie znać, ni też złapać chartami. Zając bowiem i lis ruszają po wierzchu, a charty zapadają się łamiąc wierzchnią skorupę, „nie wąchnąwszy nawet omyka“ — jak mówią charciarze. Śnieg zaskorupiały jest zbawczym dla zajęcy i lisów, przeciwnie zabójczym dla jeleni i sarn. Podczas biegu przebijając ostremi racicami jego skorupę, srodze kaleczą sobie nogi, gdyż ostre jego szczerby do kości przecinają skórę. Nigdy rozumny i sumienny myśliwy w podobnych warunkach nie poluje, albowiem rany tem spowodowane, chociaż nie zabójcze, lecz są bolesne i długo zagoić się nie mogą.

Ubiegłą zimę zaliczyć można do bardzo srogich. Oprócz trudności wyżywienia się i wynikłych ztąd najgorszych następstw dla zwierzyny łownej, jak chorób rozmaitych, srogość tej zimy odbije się fatalnie i na niewydanych jeszcze na świat potomkach. Nędzny stan matek oczywiście ujemnie działać musi na płód. Rozrost jeleni i sarn najprawdopodobniej będzie w tym roku nieliczny. Jelenie, co mi z doświadczenia dobrze wiadomo, podczas ostrzejszych zim w Galicyi na południową stronę Beskidów t. j. do Węgier wynosić się zwykły, albowiem tam znacznie cieplejszy panuje klimat i zazwyczaj mniejsze spadają śniegi. I o żer w lasach po owej stronie łatwiej, bo rosną tam dęby, których na północnej stronie Karpat-Beskidów nie ma. Po galicyjskiej stronie rośnie tylko świerk, jodła jawor i buk. Pierwsze całkowicie nasieniem swem nie dają żeru, zaś buk, zawodliwy w plonie, ledwie co lat kilka bukiew zrodzi. Jelenie więc po zwyczaju i w tym roku z nadejściem zimy na węgierską pociągnęły stronę. Srogi jednak spotkał je tam zawód, albowiem i po owej stronie olbrzymie spadły śniegi, dwułokciową warstwą pokrywając żołędź. Dobyć jej z pod śniegu częstokroć było trudem daremnym.

Sarny niemniej srogiego w tym roku doznały losu. Śnieg wysoko pokrył pola oziminą lub rzepakiem zasiane, które właśnie stanowią najpożywniejszy żer zimowy sarn i zajęcy. Młode pędy brzozy, iwy, leszczyny, lub wreszcie łoziny, które w ostateczności ogryzają, bardzo chude dają pożywienie. Zające też z tej przyczyny wyszły z zimy chude, czyli „nieskromne“. Częste zawieruchy śniegowe, oprócz utrudnienia żerowania, przeciągnęły czas parkotni. Mimo to twierdziłbym, rok bieżący będzie w zające obfity. Spóźnienie parkotni ma te dobre następstwa, że płód już po Marcu na świat wydany, nie ginie od zimna i zawieruch śnieżnych.

Marzec b. r. do połowy mroźny, w drugiej połowie, już około 18-go, począł być wiośnianym. Zjawienie się, a raczej powrót niektórego ptactwa z zaoceanowej podróży utrwaliło nas w błogiej nadziei, że to już rzeczywiście wiosna, że nie mamy powodu spodziewać się smutnych rozczarowań w postaci zawieruch śniegowych. Nawet dawne przysłowie:

„Skowronek zanuci,
Trzykroć śniegiem rzuci“,

ziściło się. Późno rozpoczęły swe spiewy te słoneczne spiewaki, ale też groźny Boreasz nie miał mocy zimnym swym podmuchem zmusić ich do milczenia.

Myśliwy, jak długo dzikie kaczki latają jeszcze stadami, co oznacza, że im czas jeszcze myśleć o „pieleszy“, podchodzi je na rzekach, jeziorach, lub niedługo trwałych „zalewiskach“ wód wiosennych i strzela. W kniei, wedle ustaw rządowych i praw przyrodzonych głęboka przez całą wiosnę i pół lata panować powinna cisza. Nietylko bowiem strzały, lecz nawet częste chodzenie ludzi płoszy zwierzynę, która potrzebuje spokoju do załatwiania swych spraw żywotnych.

Lis, jakkolwiek niecnota, smutną w tym roku miał zimę. Myszy całkowicie nie było, toż całą uwagę zwrócił „mekita“ na zające, kuropatwy lub drób domowy. Przy nader drapieżnikowi sprzyjających warunkach, jak zaspy i zawieruchy śniegowe, ileż zwierzyny pożytecznej pod lisim zębem paść musiało! Lis, wyborny znawca obyczaju zajęcy i kuropatw, na pierwsze poluje we dnie, w kotlinie je dusząc, a drugie podchodzi nocą, gdy stadkiem w remizie lub miejscu zacisznem na nocleg się ulokowały. Ostrożnie, na brzuchu się czołgając podsuwa się złoczyńca pod spiące i mimo zupełnej ślepoty po zachodzie słońca nader płoche stado kuropatw. Raptowny skok rozstrzyga o udaniu się lub nieudaniu nocnych jego łowów. Gdy nie zdołał żadnej pochwycić w pierwszym swym skoku, ponowny już niepotrzebny, kuropatwy bowiem rozpierzchają się lotem na wszystkie strony. Miara zręczności lub szczęścia lisa rozstrzyga o jego w tej dobie pożywieniu. Nie mając myszy na podoręczu, wraca głodny do nory.

Wilki, jak mi z niektórych okolic kraju donoszono, wielkie poczyniły w tym roku spustoszenia między sarnami. Co roku się to praktykuje, tej jednak zimy, przy tak nawalnym śniegu, dla wilczych łowów były bardzo sprzyjające warunki. Wilki w 6, 7 lub więcej, niby pogonka zająwszy pewien miot, ruszają naprzód stępo. Spłoszone stado sarn co tchu naprzód umyka. Gruba warstwa śniegu, w który po brzuch częstokroć zapadają, umęcza je do zupełnego ustania. Prześladowcy milczkiem a powoli za ich tropami krocząc, rozszarpują i pożerają swe ofiary.

A. Ubysz.

W STEPIE.

PREZ

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO. *)

Dobrze już było z południa; lecz słońca
Promień w podwórku dojmuje okrutnie.
Pod strzechą dziatwa wielmożnego dzwońca
Zawziętą toczy z wróblętami kłótnię
O wielkość: rodu — nie wiedzieć — czy głodu?
Za dworkiem strumyk, któremu obrożę
Zdjęła lodową wiosna, w stronę wschodu
Wali na oślep, w stepy i na morze,
Niewolę długą chcąc sobie nagrodzić.
W skwar, wszystkie ptaki zwykły się tu schodzić,

*) Ustęp z poematu „Kniaziowie Różyńscy“.

*

Lecz zdrajca kusi je, zamiast ochłodzić,
Pragnienie wzbudza raczej niż ugasza,
Gdyż wszystkich z sobą na stepy zaprasza
Szemrząc: „Tam rzeźwiej, swobodniej i milej!“

Ach, tak! tam rzeźwiej teraz i swobodniej,
Bo chociaż słońce i w polu się sili
Z potęgą wiosny wystąpić najgodniej:
Przewiew od morza ten zapęd poskramia.
Fala powietrzna nad kurhanów grudą
Drży przezroczysta i oczy omamia
Sił niewidzialnych i ruchów ułudą;
Zda się, rycerze, którzy na pościeli
Zimnej snem wiecznym pod tą grudą drzemią.
Ocknieni wiosną tak ciężko westchnęli
Że poruszyli powietrze nad ziemią,
Która rozkosznie teraz uśmiechnięta
Pełnią swojego życia i uroku,
Gdy oni — biedne Pańskie niebożęta!
Pozostać mieli w dreszczach śmierci, w zmroku
Swoich kurhanów. Motyle, ptaszęta,
Muszki się budzą i dosiego roku
Winszują sobie: tu pliszki firleje
Stroją w burzanie naśladując nurka —
Owdzie w rozkoszy do słońca się grzeje
Myszka i owad wszelki i jaszczurka
I gad — a oni? cóż się do nich śmieje? —
Zrdzewiał do szczętu miecz, pancerz, misiurka
Robak roztoczył ich prawicę męską,
Ludzka niepamięć i wieść po nich zetrze
Z oblicza ziemi... Więc westchnęli ciężko
I poruszyli nad stepem powietrze,
I zda się płaczem wnet głośnym wybuchną,
Że tak się jakoś dziwnie dzieje w świecie —
Spytają: „Azaż chciałeś tylko próchno
„Mieć z nas, o Panie, lub to marne kwiecie?...“

* *
*

A strumyk szemrze wciąż: „Tam milej,
[rzeźwiej!...“

Ach, tak! ozwijcie się stepowe lutnie!
W kościeńcu wietrze, ptaku się odezwij!
Nic to, że dumki wasze jęczą smutnie;
Nic to, że szumki wasze tchną tęsknicą
Niewysłowioną: pierś wznosi się butnie,
Dusza zaporą żadną ni granicą
Nie hamowana, rośnie, bierze skrzydła,
Ulata ptakiem, bije w gwiazdy, w niebo!
Żadne tu na nią nie czyhają sidła
Ni więzy — lotu rozkoszną potrzebą
Cieszyć się może, lotu i swobody
Boskiem jedynie miarkowanej prawem.
Ach, tak! tu ziemia, powietrze i wody,
Zwierz, kwiat i wszystko co się zowie jawem,
Przed Stwórcą swoim jedynie się korzy,
Ze Stwórcą tylko o byt się rozprawia:
Nic tu samochcąc do wstrętnej obroży
Wolnego karku swego nie nastawia.
Pohaniec tylko w kraj ten, w zakon boży,
Sztandar zniszczenia niosąc i bezprawia,
Nieraz brutalną siłą swoją wkracza;
A wtedy na tym olbrzymim upłazie
Co do Czarnego morza pustkę stacza,
Wszystko się pławi w ogniu i żelazie —
Potworna zmora wszystko życie chłepce
Z tej ziemi, wszystko zmiata, wszystko depce!

Przeszła... i znów step życiem tchnie, pokojem —
Prędko porosły wrażych kopyt bruzdy,
Mogiły nawet lśnią wiosennym strojem...

Ha, tam bez jeźdźca, bez strzemion, bez uzdy
Sunie burzanem syn tej ziemi wolny:
Rumak! — z pod kopyt pierzcha mu zajączek,
W łozach bezpieczny. Jaźwiec, piesek polny
Wyszedł dziś z nory, ssie soczysty pączek
Bzu i leszczyny; gęstwią suseł śmiga,
Ów wąż-czworonóg. Na ługu, nad wodą
Ruch jako w mieście: ród bobrów tu dźwiga,
Znosi pręciwo; starsze młode wiodą
Do pracy, wszystko to gwarne i juczne
Krząta się, gony swe budując sztuczne.
Jakiż dopiero ruch, gwar, w trzewiach młaki
Jezior niebieską opasanej wstęgą!
Szum nie ustaje skrzydeł tam: wszelaki
Ród gęsi, kaczek, stadami, dzierzęgą
Tam się obfitą tuczy, gdzie śmiertelnik
Grób miałby każdy w bezdnach i pokrzywie;
Zaś w istnej puszczy szuwaru, pustelnik
Żuraw samotny, niekiedy tęskliwie
Pojęknie jeno, jakby wyrzut wieczny
Dawcy istnienia wszystką pieśnią, treścią
Był jego piersi... Więcej już stateczny
Jest derkacz w swadzie swej, lub z dobrą wieścią
Idący zawsze kulon, nieb świstaczek,
Co na listowiu zapadł całem stadkiem.
A wszystko lament przygłusza tych płaczek
Piegż, które tylko czasami, ukradkiem,
Wśród trzciny główki ciekawe wynurzą.
Ba! i poważne ciągną nawet dropie
Z pola do wody; puch na sobie burzą
Ziewając — w dzikie spać wrócą konopie...
W ziemi, na ziemi, na wodzie, na drzewie,
Zwierz różny z bobrem kończy swe budowle
I wdzięczne trudy topi w mruku, w spiewie —
A kania w górze kwili jak niemowlę,
Nęcona tuszą słonki sarniookiej,
Co ot, żeruje nad brzegiem halawy.
Nawet w komyszy mrocznej i głębokiej
Ruch się obudził: zwierz, świetny z postawy,
Rosochacz jakiś, płowy, smukły, szparki,
Wstał — wstrząsł się, jakby go osa ubodła —
Czy zwietrzył wilka, co te zakamarki
Stepu z nim dzieli? — czy tęskni do źródła?
Niż koń na błoniu szybcej mknie przez gąszcze,
Wszystka się przed nim rozstępuje zieleń,
Z drogi pierzchają motyle, chrabąszcze,
Ptaki... To suhak! wspaniały ów jeleń
Dyany stepu, co tę tylko ziemię
Ukochał, obrał na gniazdo wśród świata —
Fauny Naddnieprza król, którego piemię
Spotkała potem zupełna zatrata,

Jak wszystko — wszystko, co w przedtrzystoletnie
Czasy, swobodnie tu żyło, szlachetnie...

Lecz nie! — nie wszystko: tam — pod światów [sklepem
Dziś, jak przed wieki, orły się kołyszą;
Te straż wieczystą objęły nad stepem,
I na błękitach tajemnicze piszą
Głoski, wyraźne jakieś kreślą runy,
Potężnem skrzydłem zataczając koła...

Orły! pozdrawiam was, stepu piastuny!
Orły! przyszłości witam w was anioła!

Ochrona naszej zwierzyny.

Przez
J. Szlezygiera.

(Dokończenie.)

Zanadto rozszerzyłbym tu granice niniejszego artykułu, gdybym chciał opisać wszystkie niegodziwe instynkta i zdradzieckie zasadzki rozmaitych drapieżników zwierzyny, szczególnie kuropatw i zajęcy, z których pierwsze jedynie w ukrywaniu się, drugie w rączości biegu szukają swego ocalenia. Każdy przyzna, że pozbycie się tylu niszczycieli jest koniecznem, a jednak ospałość w tym względzie i niezaradność, a więcej jeszcze nieumiejętność stosowania odpowiednich środków pozostawiają zwierzynę losowi, nie myśląc o jej ochronie. Po części niszczenie drapieżnych zwierząt i ptaków odbywa się u nas podczas zwyczajnych polowań, jest to wszakże bardzo niedostateczne, z powodu wrodzonej ich ostrożności i przebiegłości, na takich więc polowaniach więcej pada zwierzyny niż jej prześladowców, w polu zaś z jastrzębiem i t. p. na strzał nader rzadkie bywa spotkanie. Dlatego na lisy powine być zarządzane specyalne częste polowania, tak w lesie jak w polu, przez cały rok, a gdzie się lisy zbyt rozmnożyły, tam gospodarze myśliwi, chcący się ich prędzej pozbyć, powinniby trzymać parę chartów wyłącznie na lisy, z warunkiem powstrzymania się od szczucia zajęcy. Do końca żniw lisy stare wraz z młodymi przebywają w większej części w zbożach, chwytając tam ptactwo i młode zające; po takich miejscach wytropione przy pomocy jamnika lub wyżła, na obstawionych przy zbożu przez myśliwych punktach, łatwo strzelane być mogą. W późnej jesieni, w dniach pochmurnych i dżdżystych, lis lubi się włóczyć po polach i wtedy to najłatwiej chartami uszczuty być może.

Inne sposoby tępienia lisów są: chwytanie w żelaza, w ostatnich czasach bardzo ulepszone, z uwagą, że tym sposobem łapią się tylko w Październiku i Listopadzie; trucie za pomocą umiejętnie przyrządzonych kiełbasek, jako lisiego przysmaku. Tępienie jastrzębi i innego drobnego ptactwa polega głównie na wyśledzeniu ich gniazd, które w czasie wysiadywania lub zaraz po wylęgnięciu niszczone być powinne; stare strzelają się przywabione, albo chwytają w potrzaski i pułapki rozmaitego rodzaju, jakie mianowicie w Warszawie w składzie broni p. Stopfa znaleźć można.

Prócz wymienionych dotąd przyczyn, wpływających na zubożenie naszego zwierzostanu, przychodzi często jeszcze klęska, której odwrócenie jakkolwiek od nas nie zależy, to przecież złagodzenie jej wpływu powinno być staraniem każdego ziemianina. Klęską tą bywają mroźne śnieżne zimy, podczas których zające, a zwłaszcza kuropatwy, łatwo giną, nie tyle wreszcie od zimna, ile że nie mogąc się ukryć na obszarach śnieżnych, prędzej stają się łupem drapieżnych ptaków i czyhających złodziei, którzy korzystając z tego stanu przyrody, głodną zwierzynę przywabiają nawet do stodół i tam łowią nieraz całe stada kuropatw. W takiej więc porze roku konieczną jest troskliwa opieka właścicieli ziemskich, a polega ona na przygotowaniu środków zabezpieczających, mianowicie:

1. Nietylko w zimie ale i w ciągu całego roku krzaczki i drobne zarośla, znajdujące się w polach i na szerszych miedzach, są dobroczynnem schroniskiem dla kuropatw; takie przytułki nie niszczyć ani uszczuplać, lecz utrzymywać należy, a gdzie ich nie ma, tam trzeba zaprowadzić sztuczne remizy.

2. Dla utworzenia sztucznej remizy wybiera się w polu miejsce mniej urodzajne, jeżeli można pagórkowate i piaszczyste, którego powierzchnia powinna obejmować parę łokci kwadratowych, a figura ma być więcej dłuższa niż szersza. Na takiem miejscu zasadzają się łatwo rozrastające się krzewy, n. p. jałowiec, jeżyny, ligustr i t. p., które obok owoców, służących za pokarm kuropatwom, dają im cień i osłonę od drapieżnych wrogów. Krzewy takie, gdy dojdą więcej niż dwóch łokci wysokości, obcinają się u wierzchu, przez co bardziej się zgęszczają. Przez środek takiej remizy zostawiają się niezasadzone duże ścieżki na krzyż, szerokości ze dwa łokcie, dlatego, aby gospodarze myśliwy mógł przez odciśnięte ślady na tych dróżkach sprawdzić nie tylko obecność w nich kuropatw i zajęcy, ale nawet przy spokojnem podejściu z dowodnym wyżłem obliczyć ilość zwierzyny, znajdującej się w każdej remizie.

Ilość remiz zależy od rozległości pól na danym folwarku i w tym względzie przyjąć można jako zasadę, aby prócz naturalnych krzaczków, znajdujących się w polach, na każde dwie włoki wypadła jedna sztuczna remiza. W takich ochronnych miejscacą podczas mrozów dostarcza się jako pokarm dla kuropatw poślad różnego zboża, dla zajęcy jarmuż, liście kapuściane i wiązanki siana, prócz tego dla jednych i drugich od czasu do czasu ustawiać snopki niemłóconego owsa. Remizy zaprowadzać należy zdala od sąsiednich granic, dla niedopuszczenia ludziom złej woli łatwego łowienia zwierzyny, zwłaszcza w porze zimowej.

Do sztucznych remiz, w których kuropatwy powinne znaleźć swój opiekuńczy przytułek, lubią się zakradać wrogie im łasice; gdy ślady ich będą spostrzeżone na dróżkach, porzuca się w tych miejscach parę jajek gołębich, w które przez zrobiony otwór wpuszcza się po kilka kropel opium *(tinctura opii simplicis)*, następnie otwór zasma-

rowuje się łojem. Po zjedzeniu takiego jajka łasica albo zaraz zdecha, lub mocno odurzona zostaje na miejscu, gdzie nazajutrz rano w tym stanie zabrać ją można.

3. W miejscowościach, nieposiadających sztucznych remiz, w celu jakiegokolwiek zaopiekowania się przynajmniej kuropatwami, w przewidywaniu ostrych mrozów i głębokich śniegów, dobrze jest na oziminach, w bliskości stodół i zabudowań ponarzucać gałęzi sosnowych, tworząc z nich pewien rodzaj szałasów i tam odpowiedni pokarm podawać. Podobne urządzenie przed nadejściem zimy oswoi i przyzwyczai do tych miejsc zwierzynę, a bliskość zabudowań i mieszkań ludzkich powstrzymywać będzie od napadów drapieżne ptaki.

4. Tam, gdzie podczas surowej zimy i wielkich śniegów okazuje się mała ilość kuropatw, dla rozmnożenia ich na wiosnę trzeba odpowiednią liczbę kur i kogutów złowić przez pokrycie siecią zwaną rozjazdem; złowione przezimować w odpowiedniej izbie, lub umyślnie przygotowanych klatkach, a w początku Marca o zmroku puścić parami do sztucznych remiz, lub naturalnych zarośli w polu. Toż samo uczynić można z zającami, jeżeli ich gdzie jest zbyt mało, albo wcale nie ma; przytem uważać należy, aby zające samce i samice oddzielnie w pewnej i znacznej od siebie odległości puszczone były. Sama natura zbliży ich wkrótce i już stale miejsc tych trzymać się będą. Dotknąłem tu więcej szczegółowo potrzeby opieki i środków ochrony kuropatw i zajęcy, jako rodzajów zwierzyny, które po wyniszczeniu lasów stanowią u nas cel najpowszechniejszego małego polowania, oprócz przelotnego ptactwa.

5. Opieka i środki ochrony stosowane do zwierzyny łownej w lasach, zależą od jakości zwierzostanu. Niestety lasy, jakie u nas jeszcze pozostały, z powodu szczupłych swych granic i braku odpowiednich warunków, co do ilości zwierzyny, smutny przedstawiają widok. Znajdują się w nich w bardzo małej liczbie jelenie, w większej miejscami dziki i stosunkowo w największej ilości sarny. Jelenie, jako przebywający w największych lasach prywatnych, gdzie istnieje stosowne gospodarstwo łowieckie, mają dostateczną opiekę, idzie więc tylko o to, aby przez nadużycie polowań liczba ich nie była zbyt uszczuploną.

Dziki nie potrzebują szczególnej opieki, rzadko gdzie u nas stale przebywają, chyba w miejscach, gdzie natura przygotowała dla nich odpowiednie warunki. Jako wędrowne zatrzymują się dłużej w lasach obfitujących w dęby, buki i miejsca bagniste. Gdzie tych wygód nie mają, tam największe starania uczynienia ich stałymi mieszkańcami, będą daremne.

Opieka nad sarnami i środki ochrony streszczają się w następnych uwagach:

a) przedewszystkiem wytępić wszelkie drapieżne zwierzęta, w czem właściciele sąsiednich lasów we wzajemnym interesie pomagać powinni;

b) sarny wybierają sobie w kniei ulubione miejsca, tam zachowana być powinna spokojność, mianowicie nie dopuszczać bydła i psów, a w czasie rui nadzór nad spokojnością zwiększyć;

c) w miejscach odpowiednich urządzać lizawki słone, środek ten przywiązuje sarny do miejscowości;

d) na zimę wreszcie przysposobić odpowiedni pokarm, jako to: gałęzie drzew liściowych, mianowicie osikowych, w czasie mrozów i śniegów odświeżać pożywienie suszonemi gałązkami, liśćmi, sianem i snopkami owsa;

e) ograniczyć i umiejętnie prowadzić polowania tam, gdzie ilość sarn jest odpowiednia, najwięcej dwa razy do roku, w ciągu odpowiedniej pory, zawsze z szczególną bacznością, aby kozy były jak najbardziej oszczędzane.

REB DUWID

przez

Alexandra Ubysza.

(Dokończenie.)

Po wieczerzy nie ma nic milszego jak gawędka u płonącego kominka; zaciera się niestety dziś ten zwyczaj. Do późna w noc trwała pogadanka. Leśniczy opowiadał epizody ze swego wojskowego życia. „Niegdyś — mówił — lepiej niż dziś strzelałem; dobrze to mówi ruskie przysłowie: komu na wik, tomu na lik. Pułkownik zwykł był w dzień swego patrona sutą sprawiać ucztę dla oficerów swego pułku. Trzeba było dla niej dostarczyć zwierzyny. Tylko we Włoszech trudno było o nią, nie ma tam nietylko zająca, sarny lub kuropatwy, ale nawet wrony i wróbla. Przeludnienie, a ztąd wynikające rozdrobnienie ziemi, wysoka kultura, niekorzystnie wpływają na stan zwierzyny łownej. Nadto ludność nietylko wieśniacza, ale także inteligentna, nie dla pasyi myśliwskiej, lecz jedynie dla pieczeni w każdej porze tępi wszelką zwierzynę dziką, żadnemu stworzeniu dzikiemu nie folgując. Jastrzębie, sowy, wrony sprzedają się na targu publicznym i chętnych znajdują nabywców. Owoż tedy raz pułkownik zamyślał dać suty obiad. Kucharz napróżno rozbijał się o zwierzynę. Postanowiłem zapolować i w tym celu uzyskałem uwolnienie od służby na dni kilka. Wziąłem więc mój karabinek, a w owym czasie karabiny kawaleryi miały zasłużoną sławę nieużyteczności, bo niedaleko i nietrafnie niosły. Mój karabinek był wyjątkiem, a że lufa była gładką, więc nabiłem śrótem czyli raczej siekańcem. Staliśmy w pobliżu Padwy, we wsi, której nazwy nie pamiętam. Okolica ta posiadała dość duży obszar pola, niezarośniętego drzewami. Było to uroczysko, przylegające do gór niezbyt stromych, ale dosyć skalistych, rzadko porośniętych krzewami sakłaku i lauru (wawrzynu). Nie łatwa to była rzecz bez wyżła, na wydeptanego, szukać na tak rozległych obszarach zwierzyny, której było niewiele. U nas w jesieni, a była właśnie ta pora, wszelka zwierzyna opuszcza uprawne pola, gdzie ją robotnicy płoszą i przenosi się na łąki i uroczyska; we Włoszech, przeludnionych, na polach lub w ogrodach nie osiedzi się biedny szarak lub grzebielucha kuropa-

twa, bo i myśliwi włóczą się tam i robotnicy około winnic i sianokosów, bo tam cztery razy w roku koszą trawę. Gdy trafi się szarak jaki lub „kita“ (stadko) kuropatw, to chyba nie miejscowe, lecz przybysze z innych stron, a często nawet z innego kraju. Z niedowierzaniem potrząsano głowami nad twierdzeniem mojem o dalekiej wędrówce zajęcy, a jednak to prawda. Począłem tedy buszować po krzakach, wtem wymyka zając: strzelam, padł. Ruszyłem dalej zachęcony tem powodzeniem i dziwnie mi się szczęściło, bo w dniu tym pięć zajęcy wydeptałem, ubiłem i z tryumfem zaniosłem do kuchni pułkownikowskiej. Oficerowie często buszowali po polach i zaledwo niekiedy udało im się ubić przepiórkę lub kuropatwę, więc zazdrościli mi tego nadzwyczajnego szczęścia.

Od owych łowów pułkownik począł się mną interesować, stałem się jego łowczym i koniuszym. Pułk składał się z Włochów, Czechów i Niemców, nie słynących, jak wiadomo, z zamiłowania do hippiki, nie mieli też ochoty ujeżdżać koni, tabunów ze stepów węgierskich i ukraińskich, z których podówczas rekrutowały się konie kawaleryi austryackiej, ja tylko oddawałem się temu zajęciu z chęcią. Gdy nadszedł czas odlotu ptactwa do cieplic, zjawiały się bekasy, czajki i inne błotne ptaki, biłem je więc z mego karabinka, do którego się włożyłem i wyprosiłem go sobie na własność u pułkownika, gdym z wojska wystąpił.“

Śród tego opowiadania pojawiło się sześciu gajowych z raportami i po rozkazy na jutrzejsze łowy. Proć Skomłyk — tak nazwany, bo dziwnym, jakby jęczącym, skomlącym przemawiał głosem — dał wiadomość o dwóch stadach dzików, mówiąc: „Sut dyki, proszu jegomości, dwi czeredi, z noczi paćkały trochi na bulwyskach, a trochi „pantrowały“ (szukały) meże sosnamy za „ryżykamy“ (rydzami). Na wowki o piwnoczy i doświta trubywjem, ne widpowiły, ałe chto tam znaje, może i sut, bo mołodi pidrosły, ne dbajut o mater, ino kradut samy“. Inny gajowy zapewnił, że jamy lisie pozatykał. Leśniczy rozdał gajowym strzelby pojedynki i odprawił ich do domu.

O świcie zjawił się Duwid; towarzyszyła mu żona aż do leśniczówki, pragnąc się zapewne przekonać, iż w istocie wyruszy do miasteczka, a nie na polowanie. Po krótkiej konferencyi z leśniczym ruszył Duwid w las swoją chudą szkapiną, wprzężoną do małego wózka.

Poczęli się zjeżdżać zaproszeni na łowy goście. Charaton objął główny zarząd kuchni. Nie łatwa była rzecz dostarczyć pożywienia dla kilkudziesięciu osób, bo licznie gromadzono się na „magistrackie“ łowy, na które pan prezes przez „umyślnego“ dalekie rozsyłał zaproszenia. Charaton krzątał się w kuchni, której okna były otwarte. Usiadłszy na przyspie, jak Protazy z Gerwazym w „Panu Tadeuszu“, prowadziłem rozmowę z Charatonem. Pora była dość jeszcze wczesna; naraz słyszę klekot wózka, pospiesznie jadącego drogą. Charaton zawołał: „A to synyczka (sikorka), to pan Adam z W. jide, aby zjisty“. Wkrótce pędem wtoczył się wózek pana Adama w dziedziniec leśniczówki; wózek to był niewielki, fasonu prawdziwie bełzkiego; dokładnie opisać go niepodobna. Ciągnęło go troje koników rasy chłopskiej, uprzężonych w parciane szleje, naszyjniki i sznurkowe lejce. Grzywy i ogony tych, jak je pan Adam nazywał, „ptaszków“, suto nabite były rzepiakami, których się nabrały na pastwisku. Chude i niepokaźnie na pozór wyglądające te rumaki biegały znakomicie. — „A, jak się masz, woła do mnie p. Adam, szybko zeskując z wózka — właśnie powracam ze Lwowa i wstąpiłem na polowanie — dodał, fertając się prawdziwie jak sikorka, którem imieniem ochrzcił go Charaton. Pan Adam dziwną miał pasyę jeżdżenia po całym świecie i nigdzie nie bawił długo, ledwo się zjawił, już znikał bez pożegnania. Do kielicha nie był skory, ale do półmiska, szczególnie słodkiej leguminy, nikt mu nie wyrównał. Sam widziałem, jak sprzątnął od razu duży słój smażonej róży.

W czasie rozmowy z panem Adamem dochodzi mnie z lasu szczekanie złai psów. „A to co? — pyta leśniczy — czy ogary zławiają? pewnie psiarczyk pana Br. rozsforował gończaki i popsuł polowanie“. — „Ni — odzywa się Charaton — to ide Biła-hłyna, pan Tuncio z Ost...“. — W istocie po chwili wynurzył się z drożyny leśnej jeździec, ubrany w węgierski kożuszek, żółto wyprawiony, na głowie jakiejś szkarłatnej barwy krymka. Siedział na niewielkim koniu maści karej, a za nim pędziła złaja psów różnego gatunku. Były tam charty, wyżły, pincze, jamniki i buldog, słynny w okolicy jako dusiciel gęsi i kaczek. — „A co! ha? — zawołał Tuncio (Oktaw), zsiadając z spienionego rumaka — z Ost. opętane dwie mile, jak Boga kocham, jechałem tylko pół godziny, co ha! prawda mój kozak he?“ — Koń jego był w istocie rasy kozackiej, kupił go od kozaka dońskiego w Hrubieszowie. Koń ten obyczajem kozackim porozcinane czyli rozszerzone miał oba nozdrza. Zdaniem stepowych jeźdźców rozcięcie nozdrzy ułatwiać ma koniowi oddechanie podczas biegu. — „A co, tęgi ze mnie chłopiec! — dodał Tuncio podpierając się w boki, jakby zamyślał iść w prysiudy — a teraz dajcie horjacze!...“ — Miało to oznaczać herbatę z rumem, a raczej rum z herbatą, której Tuncio wielkim był miłośnikiem. Charaton zwał go także pośmieciuszką, albo krywoszyjką, bo miał istotnie szyję nieco skrzywioną, a pośmieciuszką, bo chodził prędko i drobno jak dzierlatka.

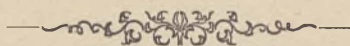
Wreszcie nadjechał pan prezes magistratu Bełzkiego W. Słuszny wzrostem, dobrej tuszy, z policyantem na koźle i adjutantem przy boku, młodzieńcem może 23-letnim, bladym, chudym i słusznym, jak tyka chmielowa. — „A ha je hłysta!“ — mruknął Charaton.

Rozpoczęły się łowy. Stanowiska rozdawano wedle godności. Charaton mimo zajęcia w kuchni wymknąwszy się na polowanie, mówi mi z cicha: „My pójdziemy i staniemy razem, już ja wiem gdzie“. Ruszamy tedy ścieżkami aż na skraj lasu, który dotykał moczarów bełzkich. Las był w tem miejscu olchowy, rzadki, więc do strzału dogodny. Stajemy i spostrzegamy, że my tu nie pierwsi; stoi wózek, a przy nim siwa szkapa i jej właściciel Duwid. — „A szczob tebe, ha! — zawołał Charaton — to ty ne w Rawi?“ — „Nu — odpowiedział Duwid filuternie — ja dla żony w Rawi“. — Psy poczęły głosić świeży trop, więc nie pora na rozhowory; stajemy i czekamy. Gończaki na dobre grają, już i strzały słychać z dala, a na nas nic nie wychodzi. Duwid stał odemnie może o sto kroków pod sosną; widzę, oczy mu się iskrzą i drży jak w febrze. Zaszumiało w gęstych sośniakach, padł strzał w stronie Charatona; wreszcie Duwid zmierzył się, wypalił, coś zaszeleściło i cicho. Po chwili woła Duwid: „Jest, jest!“ wytrzaskując patynkami w biegu. Okazało się, że psy trafiły stado dzików, które rozbiwszy się poszło w części wzdłuż linii myśliwych, druga zaś część ruszyła ku moczarom, by się ukryć w labiryncie kęp porośniętych sitowiem. Charaton

ubił sporego warchlaka, Duwid starą samurę celnym strzałem po za ucho, a ja anim co widział. Taki to już mój los myśliwski! Zostawiwszy ubite dziki, po które w nocy miał Charaton podjechać wozem, ruszamy z Duwidem, bo Charaton pomknął do swej kuchni, ku myśliwym. Wyszedłszy na skraj lasu, widzę Tuncia z chartami, a raczej z całą złają swoich psów, które spostrzegłszy nas poczęły ujadać. Mówię do Tuncia: „A to trzeba być waryatem, żeby na polowanie brać taką zgraję psów“. — „Ha, co? ja tak zawsze, niechby co wymknęło, to zobaczyłbyś“ — odrzekł. Jakoż zobaczyłem, bo w tejże chwili wymyka z lasu sarna. Trzeba było wtedy widzieć, a raczej słyszeć ową złaję psów. Charty pomknęły za sarną, a reszta tałałajstwa za nimi, różnorodne wydając głosy. Sarny zwykle wymknąwszy z lasu w czyste pole, zatoczywszy koło wracają do lasu, tak też uczynił ów kozioł: po kilkunastu skokach zwrócił w las. Tuncio obłożywszy czerkieską nahajką boki swego kozaka, którą według jego twierdzenia przywiózł mu Wiktor Podoski z Krymu, gdy był tam w kąpielach w Kisłowódzku, pomknął za swymi psami, naprzód w pole, potem w zarośla i przepadł. Zjawia się wreszcie, lecz w jakim stanie? Czapkę czerkieską strąciła mu gałąź z głowy, całe ubranie pełne dziur, a z twarzy lała się krew. — „A gdzie sarna?“ — pytam, śmiejąc się na widok tego wtórego Donkiszota. Zły był jak sto dyabłów, na czem najgorzej wyszedł kozak, najniewinniej okładany nahajem. Zeskoczył z konia i począł uganiać za psami, dopadł któregoś i okładał pletnią. Dzień ów był dla Tuncia feralnym: oprócz zgubionej na zawsze krymki i innych strat, kozak uczuwszy się wolnym, cwałem pomknął w pole, a Tuncio pieszo za nim.

Spory kawał odbiliśmy się od myśliwych, toż ruszyliśmy, Duwid ku swej karczmie, ja zaś ku leśniczówce. Wkrótce przybyli też myśliwi, dworując z kancelisty, który miał fatalny wypadek. Obawiając się bliskiego zetknięcia z dzikami, wdrapał się na sosnę, która jako dobrze smolna, obmazała mu barwny jego strój. Stary, dowcipny Poraj ochrzcił go mianem krzywonosa, który to ptak ścieli gniazdo na drzewach iglastych, a młode wykłuwszy się z jajek oblepione są żywicą i pozostają w tym stanie przez cały rok, aż do parzenia się. Nos pana kancelisty, spory i zakrzywiony, przyczyniał się wielce do trafności owej nazwy. Każdy myśliwy chwalił się jak mógł i umiał, a ja opowiedziałem zdarzenie Tuncia i trafne strzały Charatona i Duwida. „Wiwat Duwid!“ wykrzyknięto, a leśniczy przez otwarte okno zadął w trąbkę, przyzywając nią tryumfatora. Jakoż zjawił się niebawem, po żydowsku kłaniając się u drzwi zdjętym z głowy bermytkiem. „Wiwat! wiwat!“ — powtórzyły się okrzyki i toasty. Duwid na podziękowanie zmuszony był wychylić kilka kielichów wina. Wreszcie rzecze leśniczy do Duwida: „A no teraz pokaż co umiesz“. Postawiono zapaloną świecę u ściany lamusa, Duwid podochocony winem strzelał kulą o 50 kroków i nie naruszywszy świecy zgasił ją. Nastąpiły oklaski i pijatyka. Kancelista począł się chwalić, jak to on celnie strzelał, będąc jeszcze asystentem Kastnera (tak dawniej nazywano kasyerów dóbr rządowych) w Bolechowie. Więc kazano mu strzelać kulą do Duwidowego bermytka, zawieszonego na ścianie. Strzelał dwa razy i chybił z wielką ogólną pociechą. Wtedy stary Poraj zawołał: „Kiedy pan kancelista strzelał do Duwidowego bermytka, niechaj Duwid strzela w lot do jego nowego kapelusza“. — „Brawo! brawo!“ — zawołano i mimo protestu kancelisty podrzucono kapelusz w górę. Strzelił Duwid i kapelusz spadł przestrzelony kulą, a ponieważ uważano to za przypadek, więc strzelił jeszcze dwa razy, również trafnie. Zagrzmiało wrzawliwe „wiwat“, podniesiono przelęknionego Duwida na ramiona i obniesiono go w tryumfie.

W lat kilkanaście dowiedziałem się, że Duwid zaziębiwszy się na polowaniu, bo zawsze, nawet w zimie chodził w pantoflach, umarł. Wdowa z czterma synami przeniosła się do Sokala. Podobno jeden z synów Duwida zamieszkał w Wiedniu i tam został myśliwym jak ojciec, ale na inną zwierzynę. Łowi on wszelkiego rodzaju monetę i jak słyszałem, odziedziczył po swoim ojcu trafność w strzałach, bo już ubił około 100.000 guldenów.



KORESPONDENCYE.

Polowanie w Szepetówce. „Łowiec“ uprzedzająco gościnny dla każdego sprawozdania z odbytych polowań, zapewne tem chciwiej przyjmie niniejsze, gdyż jest to sprawozdanie o polowaniu niezwykłem i kto wie, czy organ waszego Towarzystwa notował kiedykolwiek w szpaltach swoich podobny rezultat.

Prawdziwie niebywałe to polowanie odbyło się w Szepetówce, przepysznej wołyńskiej kniei Józefa hr. Potockiego, w ostatnim tygodniu Lutego b. r. Uczestnikami sześciodniowych łowów prócz gospodarza byli: Stanisław ks. Lubomirski, Władysław Micewski, Roman ks. Sanguszko, Paweł ks. Sapieha, Jan ks. Schönburg-Hartenstein, Zdzisław hr. Tarnowski, Antoni hr. Wodzicki mł., August hr. Zamoyski, Tomasz hr. Zamoyski mł. i Jan Floryan hr. Zamoyski. Należy dodać, iż trzej z wymienionych polowali tylko po trzy dni, a jeden z nich nawet dzień tylko napawał się tą rozkoszą, co nie przeszkodziło, by rezultat wykazał 64 dzików, ubitych w tym sześciodniowym okresie. Królową naszych dziczych kniei bez waśni i sporów dotąd mianowana była jednomyślnie Poturzyca; w obec wszakże tegorocznego rezultatu polowania szepetowieckiego niechże bez gniewu i zawiści sławna Poturzyca odda berło Szepetówce: gdy bowiem w Poturzycy, jak n. p. w roku bieżącym, padło w dniach pięciu a w strzelb 20, dzików 32, to Szepetówka w strzelb 11 w tym samym prawie przeciągu czasu wykazuje rozkład o 64 dzikach — wszelka więc elekcya, sądzę, zgodzi się na oddanie hołdu nowej królowej. Świetnym też w swych „dziczych“ rezultatach bywał Staszów; ubito tam jednego roku w dniach dziesięciu 44 dzików — wynik zaiste imponujący, lecz przecież daleki, by grozić nowo obranej królowej detronizacyą.

Niezmierne śniegi tegoroczne utrudniały oczywiście ruchy świetnie funkcyonującej myśliwskiej maszyny szepetowieckiej, poruszanej niezwykłym sprytem organizacyjnym gospodarza, przy pomocy sztabu znakomitych leśniczych; lecz z drugiej

strony przyczyniły się także do śmiertelności, która w owych pamiętnych sześciu dniach tak grasowała pomiędzy rodem dziczym w Szepetówce, dziki bowiem chodziły tylko swemi „korytami", których nigdy nie opuszczały, ponieważ po za takiem korytem pływały jakby w głębokiej wodzie; obstawiwszy tedy koryta nie można było nie strzelać do dzików, a strzały padały zwykle do wolno idących, myślących raczej o głębokości zasp śniegu, niż o czyhającym wrogu. Jeden z tych wrogów n. p. zabił 5 dzików na jednem stanowisku w tem samem korycie. Dzik widział często myśliwego, wolał jednak iść naprzód i zmierzyć się ze swym przeciwnikiem, aniżeli po bezdennych grząźć zaspach. Jeden z poległych wycinków, zapędzony w przestrzeń nieprzeciętą dziczym gościńcem, stoczył walną bitwę z napierającą nagonką, przyczem dość silnie dwóch ludzi poturbował, zadając im kłami dotkliwe obrażenia: wolał wypowiedzieć walkę, do której w zwykłych okolicznościach nie bywa pochopny, aniżeli ruszyć na bezdenną powierzchnię białego całunu. Nagonkę tym razem składali dzielni Marsa synowie, pod wodzą swych podoficerów — gdyż włościanin zrezygnował z hojnej zapłaty i nie dał się nakłonić do ciężkiego chodzenia po nieprzebytych śniegach; za to naganiacze-szeregowcy dzielnie i szybko przeganiając olbrzymie mioty, dobrą reklamę czynili piechocie rossyjskiej. Myśliwi też przez wdzięczność nazwali ich pieszczotliwie „sołdacikami". Dwóch tych sołdacików, poturbowanych gburowatem zachowaniem się owego wycinka, otoczono szczerem współczuciem, a co dla nich zapewne było wdzięczniejszem i pożytniejszem, wynagrodzono sowicie za podatek krwi, złożony na ołtarzu myśliwych patrona.

Pomiędzy ubitymi dzikami oczywiście najwięcej padło warchlaków, mianowicie 42; ale co uwagi godne, iż zabito 7 bardzo pięknych odyńców, a 15 sztuk średnich, wcale pokaźnych rozmiarów; matki rodu oszczędzano ile możności.

Padło przytem 7 rogaczy, na nie jednak mało w ogólności uważano w obec głównego celu polowania, którym był zwierz gruby; sarn jednak stan prześliczny, dzięki wielkim o nie staraniom miejscowej administracyi myśliwskiej. Nawet nieprzebyte śniegi niewiele im tu szkody przynoszą, sarny bowiem prawie wyłącznie w restauracyach obficie zaopatrzonych przebywając, nie narażają płuc na niechybne zapalenie, gdyby musiały uganiać za żerem po niebywałej stopie śniegowej.

By upamiętnić sławne to polowanie, sprowadzono wiedeńskiego fotografa z Berdyczowa, który uwiecznił odbitką zastępy poległych dzików wraz z całą myśliwską drużyną, służbą leśną i psiarnią — jako dowód, iż Szepetówka jest dziś najpiękniejszą całej ziemi polskiej knieją. *T. W.*

Jarocin 7. Marca.

Nie będąc członkiem Towarzystwa łowieckiego, nie wiem, czy wolno mi przesłać niektóre moje wspomnienia z czasów, kiedy byłem jeszcze zapamiętałym myśliwym, a nawet, jak moi koledzy utrzymywali, dobrym strzelcem. Dziś, kiedy już zdrowie nie służy i stosunki tak się złożyły, że do przyjemności polowania brak czasu, pozostaje tylko w wolnych chwilach czytanie; powieści naczytałem się dosyć, romanse mnie nie interesują, to też kiedy mi wpadnie jaki numer „Łowca" do rąk czytam go z wielkiem upragnieniem i przyjemnością i wówczas plączą mi się różne wspomnienia z lat ubiegłych. Ostatnimi czasy wpadły mi do ręki „Wspomnienia z łowów na dziki", przez Kazimierza hr. Wodzickiego, tego prawdziwego Nemroda i badacza przyrody, mistrzowską ręką tak obrazowo skreślone, że czytałem je po kilka razy, a zawsze z największą przyjemnością i przy tej lekturze nasunęło mi się wspomnienie z nieudałego polowania na dziki, które poniżej umieszczam.

Było to w roku 1864 w jesieni — daty podać nie mogę, gdyż niestety notatek nie robiłem, nie wiedząc, że się to kiedyś na coś przydać może (dziś tego mocno żałuję). Trzymałem wówczas wieś Kupcze (koło Buska) w dzierżawie, gdy w niedzielę rano przyszedł do mnie gajowy oświadczając, że widział, jak 27 dzików przez pola z lasu Rzepniowskiego weszło do lasu Kupieckiego, do rewiru „pod sośniną" zwanego i że tam zapewne przez dzień pozostaną. Deszczyk pruszył, relacyi gajowego nie bardzo wierzyłem i odprawiłem go z niczem. Dopiero kiedy przyszedł leśniczy Niewiadomski, stary, wytrawny myśliwy i zaczął prosić i przedstawiać, że polowanie niezawodnie uda się, żeby tylko miot dobrze obstawić, zdecydowałem się napisać list i posłać konie do Buska po strzelców, leśniczemu zaś poleciłem postarać się o pogonkę i oczekiwać nas we wskazanem miejscu.

Około godziny 11-tej nadjechali: pan naczelnik sądu, kapitan H., p. N. i inni; myśliwych było dziewięciu. Las przedstawiał następującą figurę: od wschodu wysokopienny z bardzo rzadką dębiną, dalej pole, a po za niem znowu las; od południa pole i wieś Kozłów; od zachodu pole, a od północy łączka, za nią pole, wieś Rakobuty i rzeka Bug. Pierwszy miot, jako wskazany przez gajowego, w którym rzekomo dziki znajdować się miały, stanowił dział wyżej opisany, przez połowę przecięty drogą publiczną, z Kupcza do Kozłowa prowadzącą. Myśliwi stanęli nie na drodze, która, jak powiedziałem miot na połowę przecinała, tylko na drożynce leśnej, od strony północnej, nad którą sągi składano; po za tą drożynką znajdował się cypel lasu wzdłuż po nad łąką, najwyżej około cztery morgi stanowiący, gdzie w roku 1862, w czasie zarazy bydła, z powodu, że nie pozwoliłem na wymordowanie mego inwentarza, wypędzono mi bydło do lasu i w miarę tego jak ginęło, zakopano 96 sztuk w miejscu opisanem, z czego powstały doły. Miot, jak się łaskawy Czytelnik domyśli, spełzł na niczem; potem wzięto drugi i trzeci zastęp, również bez skutku i zniechęceni myśliwi przyszli do podwód, by powracać do domu, zwłaszcza że i deszczyk zaczął znowu pruszyć.

Podwody nasze stały pod lasem na drodze wyżej opisanej i kiedy już wsiadać mieliśmy, zwrócił naszą uwagę gajowy na dwa psy, od Rakobut przez pola do lasu dążące, a leśniczy twierdził, że to są znane mu pokurcze z gończej suki po kundysach, które od dłuższego czasu po całych nocach w lesie gonią a świtem do domu powracają, tak, że się z nimi mimo starań nigdy spotkać nie może, i prosił panów, żeby mógł zająć jeszcze ten maleńki cypel po nad łąką, a jeśli psy wyskoczą z lasu, by je postrzelać, na co się też zgodzono, gdyż i tak mieliśmy zamiar powypalać kulami nabite strzelby, których powykręcać nie można było (wówczas jeszcze nie było odtylcówek). Tu muszę nadmienić, że w czasie, kiedy naradzaliśmy się, zauważałem, że jeden z pomienionych psów wpadł już był do lasu, drugi zaś przeczuwając coś niedobrego przywarował w krzaku łoziny na łące. Nie mówiąc nikomu nic, poszedłem po pod las, a zbliżywszy się może na 50 kroków, kiedy się pies podnosił chcąc zmykać, posłałem mu kulę, ponieważ jednak jeszcze się rzucał, wpakowałem mu drugą kulę i dobiłem szkodnika. W tym czasie rozstawił leśniczy resztę strzelców łąką po nad lasem, posłał kilkunastu chłopców pogonki na drożynę w lesie, która ten klinek od głównego miotu, w którym wedle relacyi gajowego dziki znajdować się były powinny, oddzielała, zaś reszcie pogonki kazał zajść od przyczołka i gnać wzdłuż pomiędzy ową drożyną a łąką. Chłopcy

na drożynie mieli zadanie psa w lesie się znajdującego nie przepuścić w główny miot, tylko koniecznie starać się wyprzeć go do łąki na strzelców — i tak się też stało. Pies przestraszony wyskoczył na łąkę i począł defilować przed strzelcami; tu się rozpoczęła istna kanonada: gdzie kto miał jaką kulę w lufie wypalił do psa, który jak zaczarowany pomykał dalej i uszedł cało. W tem pogonka ruszyła dziki, które na samym skraju lasu w dołach, gdzie bydło na księgosusz padłe zakopywano, leżały. Ruszone dziki, których istotnie było 27, rzuciły się w pierwszej chwili w główny miot i chciały przejść drożyną i dostać się w głąb lasu; nad drożyną jednak stało długim szeregiem kilkadziesiąt sągów, a w miejscu przez sągi niezajętem, kilkunastu chłopaków pogonki, którzy krzykiem i kijami zwrócili stado dzików w kierunku łąki, gdzie stali strzelcy z próżnemi lufami. Można sobie wyobrazić, co się działo w duszy każdego z nas, gdyśmy widzieli, jak dziki czystem polem maszerują do rzeki Bugu, a przeprawiwszy się przez takową, do lasów Buseckich. Jak się później okazało, każdy bez wyjątku na kilka lub kilkanaście kroków mógł był do dzików (które się ze stada rozbiły), strzelać, a już jako *curiosum*, a raczej „pech“ muszę zanotować, że jeden tylko pan W. R., który do psa nie strzelał, a z powodu że deszczyk zaczął pruszyć, podłożył kłak na kominek, by mu piston nie zamókł, widząc że dziki o kilka kroków przed nim defilują, czemprędzej zrzucił kłak, ale razem z nim i piston! Oczywiście zanim drugi znalazł i nałożył, dziki były już daleko. Dziś, po dwudziestu czterech latach, obraz ten stoi mi tak żywo przed oczyma, jak gdyby to się wczoraj dopiero działo. Ile razy potem o tem pomyślałem, zawsze mi się zdawało, iż może przy całem nieszczęściu było i szczęście, że się tak stało, bo kiedy sobie przedstawimy hurmę dzików i hurmę chłopców zbitych w jedną masę, nasuwa się pytanie, czy przy nabitych częścią kulami, a częścią lotkami strzelbach, w tym ferworze oprócz dzików nie przywieźlibyśmy byli i innej „zwierzyny“ do domu. Zbytecznem byłoby dodawać, że przeklinając wszystkie pokurcze, z bardzo rzadkiemi minami powróciliśmy do domu i po skromnym obiadku na pocieszenie zasiedli do wista.

J. Rychalski.

Z Jasielskiego, w Lutym.

W okolicy południowo zachodniej części powiatu naszego jest mało myśliwych, którzy pamiętają tak ciężką zimę i utrudniony czas do polowania, jaki mamy z dniem Nowego roku 1888; ja zaś nie pamiętam takiego braku „kanonady“, inaczej u nas bywało w zimach mniej śnieżnych i mroźnych. Również nie pamiętam na naszem terytoryum nizinnem spadu śniegów na $1\frac{1}{2}$ metra (pominąwszy zaspy wysokie do 6ciu metrów). Nie bez powodu zatem nasi myśliwi zawiesiwszy strzelby z początkiem zeszłego miesiąca, dotąd złorzeczą „Sylwance“, nie troszcząc się o to, że nasza zwierzyna i kuropatwy w tej ciężkiej zimie nędzę głodową cierpią i stają się łatwym łupem kłusowników i drapieżników. Głód zmusza je szukać pożywienia w podwórzach, ogrodach i t. p. miejscach. Przeznaczmy przeto dla naszej użytecznej zwierzyny pewną ilość siana, koniczyny, owsa kilkanaście snopków, pośladu litrów parę, rozdzieliwszy to w wiadomy sposób, dokąd czas wymagać tego będzie; nie żałujmy fatygi przekonać się, czy ofiarowana ilość paszy została zużytkowaną przez nią, a ręczę, że w następnym sezonie polowania „Sylwanka“ sprzyjać nam będzie, tem niezawodniej, jeżeli choć w części złagodzimy niedolę naszej zwierzyny. Oby tylko głos mój uwzględniony, przyjęty i wykonany został! Nie zapominajmy także, iż uszczuplenie żywności naturalnej z powodu ciężkiej zimy, wpłynie ujemnie na „jurność“ i odbycie „godów“ u zwierzyny. Pan L. Ż. w dniu 23. Stycznia b. r. ubił dwie samice zajęcze, które były już zapłodnione, mimo że nędznie wyglądały. Pan J. C. ubił w dniu 28. Stycznia b. r. także znędzniałą samicę, ale zapłodnioną. Że od takich samic rzut, choćby w łagodniejszej porze roku, nie pomnoży naszego zwierzostanu, dowodzić nie potrzebuję. Natomiast przytoczę kilka faktów, których sam byłem świadkiem, jak kłusownicy korzystają w tej zimie ze zbliżania się zwierzyny do podwórz i mieszkań. Mając u siebie kilku kłusowników, zwracałem na nich większą baczność. Podejrzliwość nie zawiodła mnie, gdyż chwyciłem trzech, którzy z zasadzki przy kilku garściach siana lub koniczyny ubili każdy po zającu.

Byłem także świadkiem wśród nocy, jak inny kłusownik zamiast lisa ubił kota domowego z zasadzki, a rzecz tak się miała. Owemu kłusownikowi „liska“ (tak tu nazywają włościanie „mykitę“) pewnego dnia wydusiła pięć kur, zabrawszy na własność trzy; kłusownik chcąc pomścić swoją krzywdę zastrzelił psa w sąsiedztwie (o co go kum prosili, bo pies źle stróżował a i ów kum miał do „liski“ pewien żal), przywiązał do płotu, następnie osadził „fuzyę“ w klocu, wystawiwszy jej lufę przez urządzony otwór w ścianie w ten sposób, że skoro „liska“ zbliży się do psa i on ją przez okno zobaczy, pociągnie sznurkiem za cyngiel „fuzyi“, strzał padnie i ugodzi ją śmiertelnie. Zasadzka z ponętą dobrze była obmyśloną i byłaby się powiodła, ale niestety przyszedł kot i chociaż może nie miał zamiaru psiego mięsa kosztować, został za swoją ciekawość na 28 kroków rozstrzelany nabojem różnej jakości śrótu. Na zapytanie moje, dlaczego strzelał do kota, ze skruchą odpowiedział: „Jo co prowda pozycoł fuzyi i usprowiłem ją tak, bo ta strzelać nie umię. Na śniegu „psiopara“ widziało się wielgie, taj pociągnąłem“. Innej nocy „mykita“ dostawszy się po zaspie śniegowej na strzechę chałupy, wszedł na strych małym otworem w kalenicy (zapewne po odzywającego się koguta). Gdy atoli w budynkach dymnych nie ma zwykle powały nad sienią, „mykita“ ze strychu dostał się bez schodów lub drabiny do sieni. Gospodarz zaniepokojony łomotem niezwykłym, wyszedł ze światłem, a zobaczywszy w sieni gościa nieproszonego, zamiast otworzenia temuż drzwi do podwórza, otworzył drzwi do próżnej rezydencyi, którą miał dla trzody. „Mykita“ nie namyślając się długo przyjął ten nocleg, ale nazajutrz zrana w obecności mojej zapłacił własnem futrem. Faktów takich i podobnych im mógłbym więcej przytoczyć, nie chcąc jednak nudzić długą moją korespondencyą, resztę zostawiam na później. *W. Charlewski.*

Z Oskrzesiniec 12. Marca 1888.

Z powodu zbyt wielkiej ilości śniegu, zalegającej w tym roku lasy, polowania na Łukowcu były bardzo utrudnione. Naganiacze, choć zajeżdżali saniami, powolej dostawali się na przeznaczone miejsca, niż innej zimy piechotą; konie, brnąc po brzuchy w śniegu, noga za nogą ledwie liniami iść mogły. Mioty trwały dwa razy tak długo, jak zwykle, a mimo to nagonka nie była w stanie postępować naprzód w zwykłym porządku, ani w naznaczonych odstępach i dziwić się jej nie można, że wybierając miejsca do przebycia łatwiejsze, szła, podzieliwszy się na grupy, po kilku razem, aby omijać pozawiewane rowy i debry, czego nawet straż leśna przeforsować nie umiała; tak więc zwierz w wielkiej części bez obawy oporu

przedostawał się z łatwością w tył po za linię naganiaczy i nie spotykał się z myśliwymi.

Przyczyna, dla której padło tak mało mniejszej zwierzyny, była także ta, że jak zawsze, zapowiedziane „pierwsze strzały do dzików“, zapadających się w śniegi, padały prawie w chwili, gdy nagonka do linii myśliwych dochodziła, a mniejsza zwierzyna wymykała się wcześniej niestrzelana.

Polowaliśmy w Łukowcu trzy razy, z czego rezultat był następujący:

Dnia 11. Stycznia: W strzelb 8 wzięliśmy miotów 6, padło: 4 dziki, 2 rogacze, 2 lisy.

Dnia 10. Lutego: W strzelb 12 wzięliśmy miotów 5, padło: 6 dzików, 1 rogacz, 2 lisy.

Dnia 21. Lutego: W strzelb 8 wzięliśmy miotów 3, padło: 2 dziki, 2 rogacze, 1 żbik.

Prócz tego na drugi dzień po ostatniem polowaniu leśniczy, spostrzegłszy na czystem polu o kilkadziesiąt kroków od leśniczówki, pod stertą, zasypanych śniegiem kilka warchlaków, przypuszczając, że są albo ciężko postrzelone, albo zamarznięte, bo się za jego zbliżeniem nie ruszyły, strzelił i zabił 4. Tak więc rezultat cały polowania tegorocznego wynosi: 16 dzików, 5 rogaczy, 4 lisy i 1 żbik.

Na pierwszem polowaniu chybiliśmy 3 dziki. Na drugiem chybiliśmy znacznie więcej. Niech to będzie oskarżającym nas dowodem, że naprzykład w jednym miocie, wprawdzie najlepszym, w tych takzwanych Terebeżach, padło do dzików „tylko“ strzałów 36, a tylko 2 dziki z owych strzelanych znalazły się później na rozkładzie. Prócz tych uszły 2 jeszcze, ciężko postrzelone, ale nie znaleziono ich nazajutrz, bo śnieg z wieczora zaczął gęsty sypać i poprzykrywał farbę i tropy. Usprawiedliwić nas może to jedno, że w miocie tym — a braliśmy go przy końcu — myśliwi byli już potężnie po całodniowem polowaniu znużeni, że wiatr ze śniegiem bardzo przeszkadzał, i że kiedy ostatnie słychać było strzały, już dobry zmrok zapadał.

Trzecie polowanie uniemożliwił nadmiar śniegu. Chodzić było niepodobna, naganiacze prawie się ruszać z miejsca nie mogli i więcej uważali na to, co z nimi, niż co przed nimi się dzieje. Mimo dnia już dłuższego, wzięliśmy, jak wyżej podałem, zaledwie 3 mioty, a właściwie półtrzecia, bo miot najlepszy, a właśnie owe „Terebeże“, dla braku czasu musieliśmy przepołowić, a i ta połowa niefortunnie wypadła. Straż leśna, nienawykła do brania miotu tego w sposób, któregośmy dotąd nie próbowali, nie zrozumiawszy polecenia, zaszła z nagonką miot z boku, w obec czego linia główna stała się flanką i jeden tylko padł dzik z trzech, którym się tędy razem wyjść podobało. Większa ilość przeszła niestrzelana linią, która miała być pierwotnie flanką — po za myśliwych, którzy ją tylko w połowie zajęli. Rozkład urozmaicił i uświetnił tym razem ów szkodnik żbik, samica, który padł od dzielnego strzału p. Stanisława Pieńczykowskiego.

Zresztą w innych rewirach, należących do Oskrzesiniec, stan zwierzyny jest wcale dobry, jak na tutejsze stosunki. Strzeże się jej, pielęgnuje, żywi i gdyby tak i sąsiedzi chcieli dbać o nią, możebyśmy wkrótce do pięknych doszli rezultatów. Dziki zapędzają się często i w mniejsze rewiry, latem i jesienią zwykle stale nawet w nich goszczą — ale wielkie tegoroczne śniegi zatrzymały je w gnieździe, to jest Łukowcu i okolicy, i dopiero teraz, przed nastającą wiosną ruszyły się z siedziby swej za żerowiskiem i dalej. Udało mi się sztuk kilkanaście przed tygodniem otropić w małym rewirze żurowskim, z których dwie zostały na placu, reszta poszła w nieprzebyte trzciny szukać bezpiecznego schronienia. Sarn mamy dość pokaźną liczbę, choć wiele ucierpiały w tej wyjątkowo ostrej zimie. Mimo, że obficie żerują po zrębach, że mają siano, a w ciężkim czasie dostawały w snopkach owies i koniczynę, kilka sztuk znaleziono nieżywych, a były to mniejsze sztuki, zeszłoroczne po większej części, które nie mając w sobie żadnych oznak widocznej choroby, zginęły prawdopodobnie tylko z wysilenia lub zbytniego zimna. Zajęcy w ubiegłym myśliwskim sezonie okazało się niestety mniej, niż dawniej. Gruźlica od dwóch lat stale w tej okolicy panująca zdziesiątkowała je, ciężka i śnieżna zeszłoroczna wiosna musiała zniszczyć prawie całą marcową młodzież, a wreszcie szkodniki lisy, z którymi tu sobie już rady dać nie można, przyczyniły się do tego niezawodnie. Drapieżne ptactwo, a w szczególności jastrzębie, które gnieżdżąc się po trzcinach i oczeretach, królestwo tu swoje miały, wytępiliśmy w znacznej części; ale lisy tak się u nas rozwielmożniły i to przeważnie po polach, że się z nimi w lesie spotkać trudno i będzie trzeba wziąć się do nich energicznie z pomocą chartów i jamników, aby bronić innej zwierzyny przed tym ciężkim jej wrogiem.

Stefan Tustanowski.

Kimirz, Luty.

Okolica nasza, jakkolwiek górzysta i lesista, zdaniem najstarszych ludzi nigdy dotąd nie była napadaną przez wilki. Obecna zaś zima śnieżna i mroźna napędziła nam tych strasznych gości, które nietylko sarny rozszarpują. Dnia 15. bm. obchodząc las, mianowicie ostęp „Huta“, napotkałem resztki sarny, którą, jak tropy świadczyły, rozszarpały wilki. Dnia 14. bm. żyd ze wsi Uszkowic w powrocie z Przemyślan do domu, około godziny 11-tej w nocy napastowany był przez trzy wilki. Żyd na ich widok zemdlał, lecz chudy ale dziarski konik, ciągnący sanki, rączym galopem wyratował swego właściciela przed pościgiem wilków, które ich aż do samej wsi goniły.

Od chwili spadnięcia śniegów aż do niedawna widywano parę bocianów na łąkach Kimirza, Kopani i Świrza. Przed tygodniem jeden z tych bocianów głodem i mrozem przyciśnięty, mimo krzątania się ludzi wlazł do stajni dworskiej we wsi Kopanie, gdzie został złapany. Obecnie oswoił się do tego stopnia, że z rąk ludzi bierze pokarm. Towarzysz czy towarzyszka tego bociana niedawno jeszcze był widywany; obecnie go już nie ma. Prawdopodobnie zginął w śnieżnej zamieci.

Okolica nasza, a mianowicie Świrz, słynie z liczby kłusowników; jest nim prawie każdy mieszczanin świrski. Najgorszym z pomiędzy wszystkich jest kolonista H. Matern, wielokrotnie przez żandarmów aresztowany i do Starostwa w Przemyślanach odstawiany. Ten sam Matern w początkach b. m. wyszedł był ze strzelbą na pola wsi Czupornosowa, gdzie polowania nie dzierżawi wcale. Tam napotkawszy stado kuropatw, ze sztuk 12 się składające, ubił sztuk 8, resztę, jak się sam wyraził, „na rozpłodek“ żywo puszczając. Czemu przypisać bezkarne i aroganckie postępowanie kłusowników w okolicy tutejszej? Z pewnością nie żandarmeryi, albowiem ta jak najsprężyściej postępuje, chwyta przestępców i wedle regulaminów służbowych władzy miejscowej ich oddaje.

H. Sozański, leśniczy.

Z nad Sanu, Marzec.

Ustawy nakazują łowów z początkiem miesiąca Lutego, a my, powodowani cnotą z konieczności, i w Grudniu mało

co polowaliśmy, albowiem spadły śniegi jakich i ja nie pamiętam, a żyję nie od wczoraj. U was, mówiąc po naszemu „na dołach“, olbrzymie spadły śniegi: cóż dopiero u nas, z samego położenia na większe mrozy i śniegi skazanych. Ludzie radzą sobie jak mogą, ale zwierzyna łowna?

Niedźwiedzie w beskidowych ostępach, jak obległy w „gawrach“ tak i spią snem nieprzerywanym ani odwilżą lub jasnymi słonecznymi dniami, co im głównie sen przerywają i zmuszają do opuszczenia legowisk w celu szukania za żerem, o który w Beskidzie nawet śród mniej zawalnych zim trudno. Mysio wytrwały na mróz, na zawieruchy śniegowe „miahkij hej żydok“, jak mawiał bywało sławny ongi niedźwiednik Palij z Berchów górnych. Niedźwiedź w czasie zawieruchy śniegowej, zapchawszy się byle gdzie, jak długo ona trwa, mruczy, „burmosi“ się z głodu, a krokiem po za kryjówkę za żerem nie wyruszy.

Wilki tej zimy, lub dobywają się do chłopskich chlewów, do dobytku — a mnóstwo słychać podobnych wypadków — lub też forsują sarny, co im tak łatwo. Rozstawiwszy się jak rodzaj huczków kroczą naprzód powoli. Spłoszone stadko sarn pomyka co tchu, głęboki śnieg męczy je niebawem, ustają, stając się łupem zawsze powoli, w milczeniu postępującej bandy krwiożerczej. Tym sposobem, jak mi mówiono, w ostępach na Otrycie pożarły wilki na jeden gon stadko sarn z 6 co najmniej sztuk się składające. Ileż to sarn w całych górach tym sposobem zginąć musiało. Zawiane drogi uniemożliwiają komunikacyę wsi z wsiami, więc niesposób dać mi w tej mierze dokładniejszej wiadomości. Od dawna zawiesiwszy myśliwstwo na kołek, bodaj dowiadywaniem się o cudzych polowaniach słodziłem nudy. Ale Św. Hubert łaskaw jeszcze na swego dawnego a tak wiernego wyznawcę, nadarza niekiedy małe jakie zdarzeńko, które bodaj na chwilę skrzepłą krew moją poruszy.

W połowie Stycznia b. r. właśnie począłem wstawać z łóżka, gdy w oddali na podwórzu usłyszałem jakiś wrzask prawie nie ludzki. Wybiegam co tchu mniemając, że zdarzyło się jakie nieszczęście. I cóż spostrzegam? Michałek, główny palacz w piecach, alias stróż, siedzi przy pustej psiej budzie i plecami otwór jej zatkawszy, wrzeszczy w niebogłosy: „Gwałtu! sut! sut!“ Kto żyw pospieszył, i ja przybyłem. Otóż pokazało się, że stadko kuropatw, z 8 sztuk się składające, skryło się przed zawieruchą aż w środek psiej budy. Dostrzegł to Michałek, i do jednej w nadstawiony „sak“ (na ryby) ułowiliśmy. Kuropatwy te, jak w ogóle górskie mniejsze od podolskich, mocno były wychudzone. Szczery żal mną zawładnął na widok tych biednych istot — wola miały najzupełniej puste. Umieściłem je w alkierzyku, żeby je z wiosną wypuścić parami na Boży świat. Mimo swej dzikiej natury, skoro drzwi zamknięto, wnet skwapliwie rzuciły się do podanego im żeru i wody. Co to znaczy głód! Co ten wielki władzca może, tej zimy najlepiej się przekonałem.

Będąc lubownikiem gołębi, mnóstwo ich posiadam. W tym roku osobliwie wiele ich stracilem przez jastrzębie i tchórze, które nie wiedzieć skąd się zjawiły. Gołębie same obrały sobie za siedzibę wozownię i stajnię końską. Oba te budynki są połączone z sobą rodzajem pomostu, którędy przenosi się paszę na strychach się znajdującą. Uważano, że pomost ów służy za drogę tchórzom; tamtędy przechodzą ze strychu na strych. Dowcipny Michałek na tym szlaku nastawił pastki żelazne, z najlepszym skutkiem; w przeciągu kilku tygodni ułowiło się w nie 6 tchórzów i jedna kuna. Pewnego dnia zamiast złowionego tchórza, znalazł w zakłapniętych żelazkach ogon t. j. pióra jastrzębia „gołębiarza“, lub jak go dawniej nazywano „kuropłoszka“. Rabuś prawdopodobnie w zapale goniąc gołębia, wpadł w pastkę za ogon się chwytając. Dodam, że jak nigdy przed tem, znaczna liczba pojawiła się jastrzębi. Lub szybują w powietrzu ponad wsią i dworem, lub usiadłszy na szczycie lip i topoli, których wiele około moich budynków, czatują, rychło spaść jak błyskawica na latające gołębie lub kury domowe. Dla zwabienia jastrzębi następnego użyłem środka. Na owym pomoście przywiązawszy białego gołębia, sam strzelając niegdyś celnie, umieściłem się z dubeltówką w budynku. Niedługo czekałem: jastrząb jak błyskawica wpadł na przynętę. Strzeliłem, rabuś padł nieżywy — czy kto uwierzy? był bez ogona, zatem ten sam, który go w żelazkach pozostawił. Głód u wszelkiego rodzaju zwierząt to bodziec do ryzykownych wypraw. Do tej pory przy pomocy ekonoma ubiliśmy 9 jastrzębi. Dobrze to dawniej mawiano: „Sztuką zwierza tłuką“. *L.*

Krukienice, w Marcu.

Czytam w „Łowcu“ i słyszę ciągle od myśliwych zdanie, że lisy w tym roku w polu, bowiem kilka kniei lisich wykazało bardzo lichy rezultat. Tak jednak nie jest; lisów po prostu nie ma w tym roku. Znam knieje, w których w roku zeszłym po polowaniach zostało po kilkanaście lisów, a w tym roku nie ma ich prawie wcale. Gdzież się podziały? Przecież w takich ciężkich zimach jeszcze z gór do nas przychodziły, a nie żeby nasze miały wywędrować. Że lis w polu i między chałupami przebywał, to prawda, ale to jeden, dwa, trzy — ale nie wszystek wyszedł z lasu w pole. On także nie wiele tam w tym roku znalazł. Że kurami żyje, to facecya! Trafi się to raz na rok, że lis komuś wziął kurę, ależ jeszcze nie racya twierdzić, że się tem żywił. Zresztą i na polu ich nie widzimy.

Knieja Rajtarowska i Krukienicka posiadała w roku zeszłym już po polowaniach co najmniej 20 lisów, a dziś je widujemy po dwa, trzy najwięcej. Gdzie się podziały? Czy rzeczywiście wywędrować musiały na pole i szukać kur? Jeżeli w lesie całą zimę leżą konie zabite i przez lisa nietknięte, nareszcie sarny giną od mrozu i leżą po parę tygodni również przez lisa nietknięte — po cóż ten lis ma iść do zagród, mając bez pracy smaczną ucztę w lesie? Otóż tak nie jest. Lisów w tym roku zupełnie w pewnych okolicach nie ma, a według moich spostrzeżeń dwie są tego przyczyny. W czasie słotnych lat dużo lisów ginie po jamach, czy to przez zatopienie, lub zawalenie się sklepienia nad niemi, nareszcie na zarazę, i to zwykle wtedy, kiedy pojawia się niezwykła ilość myszy, które gdzieś nagle giną, a wtedy zwykle znikają i lisy. Zdaniem mojem giną one otrute myszami. Lat temu parę, w czasie pojawienia się wielkiej ilości myszy, króre znikły następnie, wraz z niemi pozdychały wszystkie koty. Jakież to mogło mieć znaczenie? Oto potruły się myszami. Suponuję, że to samo stało się w tym roku z lisami. Jak wszystko, tak i myszy podpadają epidemii; mamy tego dowód w nagłem ich zniknięciu. W jednym roku pojawiają się miliardami, a zaraz w następnym nie ma ani jednej; twierdzenie zaś, że mróz i słota je wygubiła, jest niczem nieuzasadnione, bo gdyby te tylko były przyczyny, to po budynkach i stertach miliony by się utrzymały, a przecież, jak wiadomo, i tam wszystkie nieraz wyginą. Twierdzę więc stanowczo, że lisy w tym roku wyginęły na zarazę i suponuję, że przyczyną tego są myszy.

Jan Orzechowski.

Wykaz zwierzyny

ubitej w lasach kameralnych w Galicyi w dziesięcioleciu 1878 do 1887, wraz z wykazem zwierzostanu w tych lasach z końcem roku 1887, zestawione przez c. k. dyrekcyę lwowską domen i lasów.

Liczba porządkowa	Ubito w rewirze	Użyteczna zwierzyna													Szkodliwa zwierzyna														
		dzików	jeleni	kozłów	zajęcy	głuszców	cietrzewi	jarząbków	kuropatw	dzikich gęsi	dzikich kaczek	cyranek	słonek	drobnego ptactwa	niedźwiedzi	wilków	rysiów	żbików	lisów	tumaków	kun	wydr	tchórzów	łasic	borsuków	sępów	puhaczy i orłów	jastrzębi	czapel
		Sztuk																											
1	Mizuń	46	—	5	19	3	1	161	—	-	—	1	4	—	3	—	2	2	4	3	—	2	—	—	—	—	1	—	1
2	Rachiń . . .	80	—	230	105	—	—	32	—	—	—	—	7	—		1	3	5	107	8	-	1	—	—	—	-	—	—	—
3	Turza wielka .	42	—	62	20	—	-	10	—	—	—	—	8	—	—	—	-	1	30	2	—	—	—	—	—	-	—	-	
4	Łopianka . .	3[illegible]	—	40	40		--	60	—	—	—	—	20	—	1	—	4	1	20	12	-	4	—	—	—	—	2	6	—
5	Suchodół . . .	56	—	3	5	—	-	60	-	—	—	—	15	—	3	—	3	—	10	2	—	—	—	—	—	—	—	—	
6	Rypianka . .	27	—	107	202	—	—	2	—	—	—	-	27	—	—	—	1	—	80	1	—	—	-	-	—	—	—	—	—
7	Kałusz	22	—	53	121	—	—	1	—	—	—	—	2	—	-	—	—	—	32	2	—	—	2	—	—	—	—	—	—
8	Krasna . . .	27	—	25	99	-	1	7	—	—	—	—	3	-	1	—	4	—	22	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—
9	Niebyłów . .	23	—	32	25	4	—	16	—	—	12	—	10	-	2	5	3	3	12	3	1	—	—	—	—	—	1	-	—
10	Jasień	8	22	2	39	13	—	99	4	—	1	—	1	—	3	2	4	3	12	4	-	1	4	—	1	—	1	—	-
11	Bolechów . .	24	—	60	74	—	—	4	12	—	—	—	60	—	3	—	2	1	24	2	—	—	—	—	—	—	2	—	—
12	Polanica . . .	118	1	9	78	—	—	57	2	—	—	1	3	16	2	3	1	—	11	1	2	6	6	—	2	—	2	8	—
13	Lisowice . . .	88	—	150	106	—	—	40	—	—	—	-	120	-	1	—	2	1	80	4	—	—	-	—	—	—	2	—	—
14	Drohobycz . .	5	—	124	300	—	—	—	—	1	—	—	5	—	—	2	—	—	107	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—
15	Dobrohostów .	29	—	28	133	—	—	3	—	—	—	—	-	31	—	—	—	—	33	—	-	—	—	—	—	—	—	—	-
16	Tustanowice .	35	—	17	71	—	—	15	—	—	—	—	20	162	—	—	3	—	25	1	—	1	6	—	—	—	—	—	—
17	Nahujowice .	23	—	36	39	—	—	1	—	-	—	—	-	—	—	1	1	—	23	1	—	—	1	—	—	—	—	-	—
18	Dobromil . .	12	—	75	71	—	—	5	—	—	—	—	8	—	—	—	—	—	33	1	—	—	—	—	—	-	—	-	—
19	Leszczyny . .	3	—	8	10	—	—	—	5	—	—	—	1	9	—	—	—	—	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
20	Starzawa . . .	30	—	97	128	—	—	59	6	—	—	1	14	—	-	1	12	—	17	9	—	7	2	—	2	—	—	—	—
21	Berehy . . .	15	—	142	120	—	—	31	3	—	1	3	10	3	—	5	5	—	21	11	—	2	2	—	—	—	11	21	-
22	Michowa . . .	6	—	98	48	—	—	23	8	1	—	—	13	—		—	—	—	5	8	—	—	—	—	4	—	1	6	—
23	Hryniawa . .	—	—	12	36	72	16	466	—	-	11	—	1	—	6	10	—	—	43	3	—	—	—	—	—	—	1	5	—
24	Jawornik . . .	—	1	36	16	20	—	60	—	—	—	—	20	—	2	14	2	—	9	6	—	—	—	—	—	6	2	-	-
25	Kuty	—	—	34	277	—	1	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	45	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
26	Kossów . . .	10	—	26	86	—	—	—	—	—	—	—	7	—	—	—	—	—	13	—	—	—	—	—	—	—	1	1	—
27	Szeszory . . .	31	—	95	181	1	—	17	20	—	—	—	3	—	1	6	—	—	25	4	—	1	—	—	—	—	—	-	-
28	Utoropy . . .	6	--	188	117	—	—	7	1	—	—	—	8	18	—	4	1	—	21	—	2	—	—	—	—	1	—	—	-
29	Peczeniżyn . .	26	—	48	157	—	—	15	6	—	-	—	30	1	—	—	—	1	35	1	—	—	—	—	—		—	—	-
30	Kniażdwór .	43	—	34	308	—	—	7	24	—	3	—	20	29	—	—	—	—	56	1	—	—	—	—	—		—	—	—
31	Jabłonów . .	41	—	148	198	—	—	3	7	1	1	—	24	—	—	2	-	—	51	8	—	1	—	—	—	—	4	17	
32	Delatyn . .	44	—	109	211	—	1	19	10	2	—	—	37	—	1	7	1	—	61	4	6	1	2	—	5	—	2	—	-
33	Dora	32	—	28	79	4	-	41	2	—	—	1	2	—	4	—	2	—	7	2	—	—	1	—	—	—	—	—	-
34	Osław	33	—	51	102	—	—	10	14	—	—	—	19	—	—	6	1	—	15	1	—	—	2	—	3	—	—	—	—
35	Warzyce . . .	18	—	2	50	—	—	—	—	—	—	—	11	15	-	—	-	-	29	—	—	—	—	—	-	—	—	—	—
36	Muszyna . . .	—	—	7	3	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—		—
37	Śnietnica . . .	—	—	14	53	—	—	—	4	—	—	—	—	4	—	2	—	—	35	—	—	—	—	—	3	—	—	—	—
38	Niepołomice .	—	—	166	924	—	—	—	378	-	84	29	40	173	—	—	-	—	75	1	—	4	2	—	—	—	—	52	—
39	Stanisławice .	—	—	224	235	—	—	—	106	-	23	5	38	18	—	—	—	—	40	2	1	3	—	—	3	—	—	-	—
40	Grobla	3	—	214	705	—	—	—	78	1	200	—	42	51	—	—	—	—	84	4	3	—	5	—	1	—	1	27	—
41	Gawłówek . .	2	—	232	432	-	—	—	50	—	26	1	6	100	—	—	—	—	59	6	—	—	—	—	2	1	—	—	-
42	Uszew . . .	—	--	18	132	—	-	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	21	—	—	—	—	—	—	—	—	—	-
43	Stary-Sącz . .	3	—	25	60	-	—	—	—	—	-	—	—	—	—	—	—	—	18	—	-	—	—	-	—	—	—	—	-
44	Tyniec	—	—	2	221		—	—	102	-	103	18	1	14	-	—	—	—	11	—	—	—	—	1	—	—	8	2	-
	Ogółem . .	1.041	24	3.116	6.436	117	20	1.332	843	6	465	60	660	644	31	71	57	18	1.464	125	15	34	36	1	26	8	42	145	1
	Przeciętnie w jednym roku . . .	104	2	312	643	12	2	133	84	1	46	6	66	64	3	6	6	2	147	12	1	3	4	—	3	1	4	14	—
	Stan zwierzyny z końcem r. 1887 .	468	367	3.596	3.436	187	95	1.806	509	—	1.030	520	10	—	41	29	34	29	802	332	99	98	154		346	54	95	916	-

KRONIKA.

Lwów, 16. Marca.

Po dziesięciu latach gorliwej i jak najstaranniejszej pracy, dotychczasowy Czcigodny Redaktor „Łowca“, p. Józef Łoziński, złożył redakcyę w ręce Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, który wydanie numeru kwietniowego, aż do zamianowania nowego Redaktora, poruczył podpisanemu członkowi Wydziału.

Godząc się z przykrą koniecznością, wywiązuję się według sił z tego zaszczytnego zadania; nie mogę wszakże bez szczerego żalu myśleć o tej zmianie. Usuwa się od kierownictwa sympatycznym naszym „Łowcem“ Mąż doświadczony i rzetelnie sprawie łowiectwa krajowego oddany, Mąż, którego jedynie zabiegom, trudom i zamiłowaniu powiodło się stworzyć i na wysokości zadania utrzymywać nasze Czasopismo przez lat dziesiątek. Zasługi ustępującego Redaktora są też powszechnie uznane, a to nawet w sferach, nic wspólnego z łowiectwem niemających oprócz zamiłowania w rzeczach szlachetnych i pożytecznych. Co się zaś tyczy Szan. Czytelników „Łowca“ i myśliwych naszych, wiem, że trafię tylko w ich myśl i uczucie, wyrażając tu Czcigodnemu p. Józefowi Łozińskiemu zapewnienie, iż umiejętną a uczciwą pracę Jego na zawsze we wdzięcznej zachowamy pamięci. *Bronisław Komorowski.*

Na posiedzeniu Wydziału z dnia 20. Stycznia b. r. przewodniczył prezes Towarzystwa hr. Roman Potocki; obecni wiceprezes Towarzystwa hr. Szembek Stefan, członkowie: Glanz J., Komorowski B., Simon E., hr. Zamojski S., Zontak W.

Uchwalono:

Przyjąć do wiadomości rezygnacyę hr. Tadeusza Dzieduszyckiego jako członka Wydziału.

Oddać nadal referat redakcyjny hr. S. Szembekowi, budżetowy p. Wł. Riegerowi.

Poruczyć rewizyę listy delegatów pp. Simonowi, Zontakowi i Komorowskiemu, z poleceniem, iżby po sprawdzeniu tej listy zawiadomili delegatów o uchwale Walnego Zgromadzenia w tej sprawie powziętej, udzielili tymże kwestyonarzy do wypełnienia i zdali sprawę na najbliższem posiedzeniu Wydziału.

Zwołać kilka posiedzeń Wydziału w czasie Walnych Zgromadzeń Towarzystw kredytowego i gospodarskiego, wyłącznie dla sprawy reformy ustawy łowieckiej. Na te posiedzenia zaprosić p. Adama Jędrzejowicza. Wydział Towarzystwa wystosuje odezwę do Wydziału krajowego z prośbą o ponowne zwołanie ankiety. Jeśli tej prośbie nie stanie się zadość, Wydział wniesie gotowy, opracowany projekt do komisyi sejmowej.

Przyjąć rezygnacyę p. Łozińskiego jako redaktora „Łowca“ i wyrazić mu podziękowanie.

Poruczyć wydanie numeru „Łowca“ panu Br. Komorowskiemu, który na najbliższem posiedzeniu ma przedstawić wnioski co do dalszej redakcyi „Łowca“ i przedłożyć wspólnie z pp. Simonem i hr. Szembekiem ułożony program czy regulamin, określający stosunek Redakcyi do Wydziału.

Uchwalono kwestyonarze dla delegatów i dla kroniki myśliwskiej, jako też wyjednanie u Władz, by licytacye polowań gminnych ogłaszane były w „Łowcu“.

Na posiedzeniu Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego z dnia 21. Marca b. r. przewodniczył zastępca prezesa hr. Stefan Szembek. Z członków Wydziału byli obecni pp. Czarkowski Tadeusz, Bohdan Hipolit, Glanz Józef, Komorowski Bronisław, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław.

Komisya organizacyjna, złożona z pp. hr. Szembeka, Simona i Komorowskiego, która w ciągu Marca odbyła szereg posiedzeń, przedkłada Wydziałowi swe postulata, tyczące się organizacyi Zarządu i Biura Towarzystwa, oraz Delegatur na prowincyi. Stosownie do wniosków Komisyi uchwalono:

z referatów specyalnych przydzielić pojedynczym członkom Wydziału: 1. referat „Łowca“ i korespondentów Towarzystwa, wiceprezesowi hr. Stefanowi Szembekowi; 2. kasowy, Riegerowi Władysławowi; 3. orzeczeń prawnych i administracyjnych, spraw personalnych członków Tow., oraz spraw towarzystw myśliwskich w kraju, Drowi Kratterowi Ferdynandowi; 4. stosunków z Władzami publicznemi, Ord. Czarkowskiemu Tadeuszowi; 5. Delegatur na prowincyi: *a)* wschodnio-galicyjskich, Drowi Riegerowi Zygmuntowi; *b)* zachodnio-galicyjskich, Simonowi Edwardowi; 6. referat statystyczny, Glanzowi Józefowi; 7. spraw ochrony zwierzyny i podniesienia zwierzostanu w kraju, Komorowskiemu Bronisławowi;

w Biurze Towarzystwa obok sekretarza zatrudnić referenta kancelaryjnego do spraw fachowych, normując szczegółowo zakres czynności obu tych funkcyonaryuszy.

Następnie uchwalono na wniosek referenta spraw ochrony zwierzyny, wydać z nadchodzącą wiosną odezwę do kraju z wykazaniem najpilniejszéj potrzeby (ze względu mianowicie na klęskę zimową) pielęgnowania zwierzyny użytecznej w czasie lęgu wiosennego, tudzież przyjęto do wiadomości osnowę tej odezwy. Ażeby cel osiągnąć tem pewniej, zostanie ona rozesłaną do dalszego rozpowszechnienia, najwyższym w kraju Władzom rządowym i autonomicznym dla zakomunikowania jej treści naczelnikom gmin; przewiel. plebanom wiejskim za pośrednictwem Władz duchownych i szanownym nauczycielom ludowym za pośrednictwem Władz szkolnych, wreszcie pp. Delegatom Towarzystwa na prowincyi i dziennikom krajowym.

W końcu wybrał Wydział dla ostatecznej organizacyi Delegatur na prowincyi Komisyę, złożoną z pp. wiceprezesa hr. Szembeka Stefana, Ord. Czarkowskiego Tadeusza, Komorowskiego Bronisława, Dr. Riegera Zygmunta i Simona Edwarda.

Odezwa do PP. Delegatów Towarzystwa. W wykonaniu uchwały Walnego Zgromadzenia, Wydział poddał rewizyi listę Delegatów Towarzystwa i ustaliwszy ją, rozeszle do PP. Delegatów następujący okólnik:

Wielmożny Panie! Wobec nieobliczonej klęski, jaką ubiegła właśnie sroga zima, i obecnie jeszcze w okolicach przyrzecznych rozlane powodzie zrządziły w zwierzostanie kraju naszego, widzi się Wydział Towarzystwa łowieckiego w poczuciu obowiązków swoich spowodowanym, poczynić starania, aby ile możności zapobiedz upadkowi zwierzostanu, który w ostatnich latach znakomicie podnosić się zaczął.

W tym celu postanowił odezwać się do tych WPanów, którzy już dawniej przyjęli mandaty Delegatów Towarzystwa, jak niemniej zapełnić braki, które w niektórych powiatach dotąd istniały. Zważywszy jednak iż nierówne zalesienie, rozległość, jakoteż miejscowe stosunki wielu powiatów są tego rodzaju, że czynności, którémi Wydział zamierza obarczyć pp. Delegatów, mogłyby dla jednego tylko w powiecie być zbyt uciążliwe; przeto pozwala sobie zapytać WPana, czy sam zechcesz przyjąć mandat na Delegata Tow. łowieckiego, i czy zdaniem WPana jeden tylko Delegat na powiat wystarczy. — W razie przeciwnym upraszamy WPana, abyś nam raczył wskazać osobistości (jedną do trzech) w powiecie swoim zamieszkałe, które racyonalne łowiectwo zajmuje, a któreby w interesie dobra kraju na tem polu zechciały nam być pomocne przyjęciem mandatu Delegata. W załączeniu poseła Wydział blankiet dający pogląd na wynik ubiegłego sezonu myśliwskiego, który wypełniwszy, o ile WPanu wiadome są stosunki, zechcesz WPan nadesłać do Wydziału Tow. łowieckiego pod adresem sekretarza.

Lwów, 24. marca 1888.

Dr. Zygmunt Rieger — *Stefan hr. Szembek*
Edward Simon — Zast. Prezesa.
Referenci Wydziału.

Z Towarzystwa im. św. Huberta we Lwowie. W swoim czasie dam szanownym Czytelnikom dokładny i szczegółowy obraz polowań naszych w r. 1887/88 tak pojedynczych (na luzaką) jakoteż gremialnych; obraz wypełniony statystycznemi datami z zapisków pp. rewirowych. Tymczasem przedstawię ogólnie, jak, gdzie i z jakim skutkiem korzystaliśmy z naszych pięknych rewirów.

Z powodu uciążliwie śnieżnej zimy, z zapowiedzianych 19tu polowań nie wszystkie przyszły do skutku. Mianowicie w Ostałowicach nie polowano wcale; rewir brzozdowiecki, zamiast trzy razy, spolowano raz tylko, a w Stulsku, Kuchajowie i Iłowie pierwsze polowania się nie powiodły, z powodu niepogody. Podobnie i ostatnie polowania w Rozwadowie, w Stulsku i Iłowie, odłożone na luty, dla zaszanowania zajęcy, w skutek mas śniegowych nie wypadły tak, jakby wypaść były powinne, ponieważ i pogonka nie mogła dobrze pełnić swego zadania i myśliwi sami zbyt wielkim trudem opłacali swe zamiłowanie. Mimo tych przeszkód, mimo ogólnego braku zajęcy w tym sezonie, padło na wszystkich polowaniach Towarzystwa około 250 szaraków, z czego na samą knieję kuchajowską przypada około 80. Lisów natomiast mniej dostaliśmy na rozkład i tu sprawdziło się przysłowie, że złe tak łatwo wygubić się nie da. W Kuchajowie naprzykład, gdzie w innych latach w każdym niemal miocie widziano lisa, w tym roku na trzech polowaniach żaden nawet na strzał nie wyszedł. W Rozwadowie za to daliśmy im na drugiem polowaniu cięgi, bo na rozkładzie było ich 9 i tem pocieszaliśmy się przez resztę sezonu. Ogółem padło około 40 lisów.

Stan sarn w kniejach naszych z każdym rokiem się podnosi, dzięki staraniom zacnych pp. zarządców rewirów i dzięki naszej... kieszeni. W tym roku wydaliśmy około 200 zł. na karmę dla sarn, a 37 rogaczy znalazło śmierć od strzałów Hubertowców, z tego w Stulsku 13. Zauważyć tu wypada, że żadnej kozie nie przyprawiono rogów. Co do dzików, to możemy się pochlubić tylko 7 zabitymi; wszystkie w Iłowie, a z tego 4 na jednem polowaniu, na którem do sześciu tylko strzelano. Gdy do tego dodamy kilkanaście słonek, ubitych na jesiennych polowaniach i dwa jarząbki, będziemy mieli w najogólniejszych zarysach obraz naszych tegorocznych łowów w kniei.

Mimo wielkiej klęski, jaką zwierzynie zadały tej zimy zwaliste śniegi, mamy nadzieję, że i stan zajęcy w tym roku się podniesie, bo w zeszłym roku zamknęliśmy polowania luźne na zające z dniem 1. listopada, a prócz tego kilkanaście strzelb kłusowniczych wywędrowało do c. k. starostw. *G. L. Dziubiński.*

We Lwowie dnia 26. marca 1888.

Pierwsze słonki pojawiły się tej wiosny w okolicy Lwowa stosunkowo wcześnie, gdyż 22. Marca, kiedy sporą warstwą śnieg jeszcze pokrywał ziemię. Pierwszy ten ciąg, spowodowany prawdopodobnie stale panującym wiatrem południowym, do dnia 29. Marca nie był wcale obfitym. Widywano przed pogonką w ciągu popołudnia najwyżej 25 słonek. Wspomniony wiatr tak szybko osuszył ziemię, że słonka tylko w rewirach, zazwyczaj po rozcieczy wiosennej nieprzystępnych dla myśliwego, tym razem znaleźć może dostateczny pokarm i odpowiadające jej naturze warunki. Rewirem takim w okolicy Lwowa są n. p. Barszczowice, gdzie też polowano na słonki już 26. Marca z większem powodzeniem niż w innych stronach.

Z Rzeszowskiego 1. Marca.

Powracam pod urokiem bardzo ładnego polowania, które się odbyło 28. i 29. Lutego u p. Stanisława Jędrzejowicza w Jasionce. Oczywiście polowaliśmy tylko na rogacze i lisy, i pierwszego dnia w Jasionce zabiliśmy w 4 strzelby 12 rogaczy i 1 lisa, zaś drugiego dnia w Zaczerniu, rewirze p. Adama Jędrzejowicza, w 5 strzelb 6 rogaczy. Każdy myśliwy przyzna, że świetny to rezultat, tem bardziej, że z powodu małej liczby myśliwych większa część stanowisk nie była obstawiona, że wreszcie mieliśmy tylko 30 pogonki i wiele sarn wychodziło flankami. Polowanie wcale nie było głuche, jak to zwyczajnie bywa, gdy się tylko na sarny poluje; w każdym miocie ktoś strzelał, a fortuna dosyć równo obdzieliła nas swoimi darami. Śniegi w lesie ogromne, pomimo tego pogonka wzorowo prowadzona spełniała należycie swoje obowiązki. Do podniesienia stanu sarn w tych kniejach głównie przyczyniło się obfite żywienie; wszędzie spotykaliśmy po lesie żłoby z koniczyną, takzwane „tryzuby", a dokoła tychże śnieg zdeptany jak po stadzie owiec. W Zaczerniu, u p. Adama Jędrzejowicza, zastaliśmy oprócz wielkiej ilości sarn, również bardzo ładny stan zajęcy. Właściciel ma tem większą zasługę, że nie będąc sam zapalonym myśliwym, szanuje i żywi zwierzynę w swoich lasach.

Zajęcy w ogóle mamy dosyć, ale bardzo smutno jest z kuropatwami, a raczej prawie całkiem wyginęły nawet w najlepszych rewirach. Słotne lato i obecna sybirska zima wyniszczyła je ze szczętem; budki z pośladem pustką stoją, bo poprostu kuropatw nie ma. Mamy trochę złapanych w jesieni, ale te słabo się mnożą, tem bardziej, że przed Kwietniem nie będzie ich można wypuścić. *R. W.*

Staresioło w Marcu 1888.

Śniegi tegoroczne, pomimo, iż codzień regularnie zwierzynie w umyślnie do tego urządzonych tryzubach żywności dostarczamy, dają się jej dotkliwie we znaki, sarny bowiem nie odchodzą prawie od tryzubów, chyba wtenczas, gdy się im zrana żywność przywozi, ale tylko na kilkanaście kroków oddalają się, by potem znowu natychmiast do żerowania przystąpić.

Dotychczas znaleziono dwie młode kozy, które zginęły: nie można było jednakowoż skonstatować dokładnie, z jakich powodów śmierć ich nastąpiła, albowiem były już od lisów, których tu u nas nie brak, znacznie nadszarpane. Można jednakowoż przypuszczać, o ile z pozostałych szczątków zauważałem, że zginęły dlatego głównie, iż nie były jeszcze należycie rozwinięte, a być może że lisy je zagryzły, gdyż zdarzyło się dnia 8. b. m. iż dozorca, obchodząc swój dział, napotkał dwa lisy, które starą sarnę, szamocącą się w głębokim przeszło na metr śniegu, z tyłu szarpały. Sarna nie miała już zębów, tylko czarne pniaczki zaledwie ze szczęki wystające, a po odebraniu jej lisom wkrótce zginęła. Była zresztą bardzo nędzna i zginęłaby zapewne sama przez się, w skutek starości.

Znaleziono również w ostatnim czasie kilka zajęcy przez lisy pożartych. Śmiałe te rabusie w dzień biały uganiają za szarakami. Orły robią nam także wielką szkodę, dlatego też w roku bieżącym nie ma nadziei pomyślnych rezultatów na polowaniach jesiennych.

Dziki powychodziły w cudze lasy; mamy ich tylko 6 sztuk i to bardzo wynędzniałych; późniejsze warchlaki prawie całkiem wyginęły.

Wilhelm Beer.

Łowy na niedźwiedzie w Nieświeżu. Warszawskie „Słowo" otrzymało od jednego z uczestników wielkiego polowania, jakie się odbyło na początku bieżącego miesiąca w Nieświeżu, następującą ciekawą relacyę:

„Polowano przez trzynaście dni wyłącznie na niedźwiedzie, które służba leśna ks. Antoniego Radziwiłła trzymała osaczone przez zimę w kniejach nieświeskich; prócz tego zrobiono jeszcze kilka wycieczek do kniei sąsiednich, położonych w dawniejszych dobrach ks. Wittgensteina, obecnie własności, jak wiadomo, ks. Hohenlohe, namiestnika Alzacyi i Lotaryngii. Księstwo Antoniowie Radziwiłłowie nie mogli brać udziału w łowach, gdyż zatrzymani zostali chorobą cesarza Wilhelma w Berlinie. Zastępowali ich przeto ks. Maciej i Wilhelm Radziwiłłowie; prócz tego, z zaproszonych gości brali jeszcze udział w polowaniu: ks. Włodzimierz Czetwertyński z Warszawy, hr. Ksawery Branicki, jego szwagier hr. Adam Sierakowski, znany nasz akwarelista a częsty gość w Nieświeżu i namiętny myśliwy, p. Julian Fałat i p. J. Abłamowicz, pełnomocnik ks. Radziwiłła.

Łowy udały się świetnie; ogółem zabito dziewięć niedźwiedzi, z której to liczby aż trzy przypada na ks. Macieja Radziwiłła. Najpiękniejszego niedźwiedzia, rzeczywiście rzadkiej wielkości okaz, położył trupem hr. Ksawery Branicki; jedną także sztukę ubił p. Fałat, który równie zręcznie włada pędzlem, jak i strzelbą. Obok zabitych niedźwiedzi znaleziono jeszcze w barłogach trzy młode piastuny, z tych dwa zabrał hr. Ksawery Branicki do majętności Montrésor, którą we Francyi posiada, jedno młode otrzymał w darze p. Fałat, który je przywiózł z sobą do Warszawy, celem podarowania tutejszemu Ogrodowi Zoologicznemu. Najciekawszą jednak chwilą polowania był następujący, w samej rzeczy niezwykle ciekawy epizod. W początkach stycznia r. b. upatrzył przypadkiem jeden ze służby leśnej w głębi kniei, na wysokiej jodle, przedmiot, którego sobie na razie wytłómaczyć nie mógł. Wpatrując się bliżej, przyszedł on wreszcie do przekonania, że to nie może być nic innego, jak tylko niedźwiedź, który sobie na takiej wysokości leżysko na zimę wybrał. Stwierdziwszy to niezwykłe i prawie zagadkowe zjawisko, postanowiono nie płoszyć zwierza i pilnować jego siedziby. Zdaje się, że z początkiem zimy, wilki kilkakrotnie spłoszyć musiały Misia, tak, że raz i drugi zmuszonym był uciekać na drzewo. Przypadek widocznie chciał, że chroniąc się przed groźną napaścią stada wilków, młody niedźwiedź trafił na wyniosłą jodłę, na której na wysokości siedmiu sążni konary tak się były rozeszły, że tworzyły wygodne zupełnie, lubo nieco od zimna nieopatrzone i przewiewne schronisko. Ujrzawszy stosunkowo wygodny nocleg, niedźwiedź powziął zamiar zostania na drzewie na zimę i zamiast szukania i usłania sobie gawry, pomimo silnych i dokuczliwych mrozów, w gęstych gałęziach drzewa obsypanych śniegiem, pomiędzy trzema odnogami, wytrwał kilka miesięcy. Skoro obecnie zjechali strzelcy, leśni podprowadzili myśliwych pod jodłę, wskazując na niedźwiedzia, ukrytego wcale dobrze w gęstych kiściach wyniosłego drzewa. Że jednak polowanie tego rodzaju zalicza się w dziejach łowiectwa do nadzwyczajnych rzadkości, zatem, wobec tak ciekawego zjawiska, p. J. Fałat odrysował naprędce *in aeternam rei memoriam* całą scenę — poczem chwycono za strzelby. Pierwszy strzał w czarniejącą na drzewie masę, dał ks. Wład. Czetwertyński, ale strzał ten chybił. Spłoszony niedźwiedź rzucił się nagle w kryjówce swojej i wśród chrzęstu łamiących się gałęzi i spadającego śniegu, zaczął obsuwać się na dół. Drugi i wreszcie trzeci strzał ze strzelby ks. Czetwertyńskiego chybiły również. Czwarty strzał, już blisko ziemi, dał p. Fałat i ranił lekko niedźwiedzia w piersi. Zwierz zeskoczył i wybiegł prosto na ks. Macieja Radziwiłła, który celnym strzałem położył go na miejscu trupem. Zdarzenie to hojnie wynagrodziło trudy, z powodu nader silnych mrozów, zawieruch i strasznych zasp śnieżnych, bardzo w roku bieżącym uciążliwego polowania. Nie ma żadnej wątpliwości, iż gdyby nie ta okoliczność, że nagonka pomimo największych wysiłków nie mogła utrzymać się w linii, liczba niedźwiedzi wypłoszonych z ostępów byłaby tym razem znacznie większą. Scena jednak z niedźwiedziem, gnieżdżącym się na drzewie, pozostanie chyba długo w pamięci strzelców, którzy o podobnem zdarzeniu nie słyszeli, a p. J. Fałat powziął nawet zamiar utrwalenia tej chwili w akwareli, której rysunek ukaże się niebawem w jednem z naszych pism ilustrowanych".

Wspomniony na wstępie dziennik pisze później: „Opis polowania na niedźwiedzie w Nieświeżu, zamieszczony w piątkowym numerze „Słowa", a zwłaszcza ów Miś, który obrał sobie legowisko na drzewie, wzbudziły powszechne zainteresowanie się wśród grona myśliwych. Przynagleni licznemi zapytaniami o szczegóły tego niezwykłego w sporcie myśliwskim zdarzenia, dodajemy, że zamieszkujący napowietrzne szlaki niedźwiadek ulokował się na wysokości 7 sążni po nad ziemią. Pierwszy strzał, który ruszył Misia z jego niezwykłego barłogu, dał ks. Włodzimierz Czetwertyński. O ile strzał ten był trafny, trudno było przesądzać, gdyż ze stanowiska, jakie zajmowali myśliwi, nie można było widzieć nic więcej, jak jedną wielką czarną masę. Jednakże myśliwska sława ks. Cz. nie pozwala wątpić, że strzał był trafny, a przypuszczenie to potwierdza i ta okoliczność, że Miś z nadzwyczajną szybkością starał się salwować ucieczką. Jedyną drogą odwrotu z tego górnego leża był pień drzewa, po którym też niedźwiedź zaczął na podobieństwo wiewiórki, spuszczać się na dół, po przeciwległej stronie od myśliwych.

Ks. Cz. chciał obiegnąć pień, aby strzelać z całą pewnością. Stanęły temu na przeszkodzie zawały. Niedźwiedź tedy był osłonięty od strzałów, wystawiając na nie tylko chwilami grzbiet i boki. Skorzystał z jednej z takich chwil ks. Cz. i strzelił. Oczywiście strzał ten nie mógł być śmiertelny. Trzeciego strzału ks. Cz. dać nie miał sposobności. Następnie strzał p. Fałata ugodził niedźwiedzia w piersi, ale także nie śmiertelnie i dopiero ks. Maciej Radziwiłł, mając strzał wygodny, gdy Miś był już na ziemi i ku niemu ruszył, powalił go trupem. Cała więc zasługa ubicia zwierza dzieli się w danym wypadku pomiędzy trzech myśliwych, którzy w świecie łowieckim równej używają sławy: bardzo celnych strzelców i znakomitych myśliwych. Relacyę powyższą otrzymujemy od jednego z uczestników polowania w Nieświeżu, z zapewnieniem, że obadwa strzały ks. Cz. niedźwiedzia trafiły i potargały mu wnętrzności".

Z powiatu Cieszanowskiego.

Zima tegoroczna mroźna, a obfitością śniegu już dawno niebywała, dla biednej zwierzyny zgubną była w całem słowa tego znaczeniu. Powiat tutejszy, w którym zwierzyny w ogóle bardzo mało, tem dotkliwiej uczuje tę stratę, a tych niewielu, którzy dopiero od lat kilku zaczęli się zajmować łowiectwem i do jakich takich rezultatów doszli, na zniszczony trud swój i starania ze ściśnionem patrzy sercem. Kto tylko las swój przejdzie i choć trochę poszuka, znajdzie niejedną sarnę, a jeszcze więcej zajęcy, które padły ofiarą tej strasznej zimy. Lecz nietylko sarny i zające znachodzą się zagłodzone i zmarznięte: uległy zimie nawet i dziki. I tak w zeszłym tygodniu znaleziono w państwie Oleszyce 5 dzików sporych, które z głodu, zmęczenia i mrozu zginęły. Dodać jeszcze trzeba, że chłopi znaczną ilość zajęcy wyłapali, bo biedny szarak nie mogąc znaleźć gdzieindziej żywności, pchał się do ogrodów i sadów, a tak osłabionego można było nawet kijem zabić, jak się to praktykowało u jednego z moich sąsiadów, gdzie parobcy biedne zajączki kijami zabijali w ogrodzie.

Okolica tutejsza, posiadająca wielkie obszary lasów, nie jest wprawdzie zupełnie odpowiednią do hodowli zwierzyny, bo podkład nieprzepuszczalny, a więc motylica zabiera wielki procent, lecz przy ochronie i podawaniu w zimie paszy można osiągnąć dobre rezultaty, czego dowodem Oleszyce księcia W. Sapiehy, gdzie zwierzostan od lat kilku wcale piękny. Mojem zdaniem zwierzostan w tym powiecie nie może się podnieść znacznie, bo brak tu myśliwych, a więc kłusownik bez obawy buszuje po polach i lasach, wiedząc, że go nikt nie przytrzyma, a jak spotka gajowego, to będzie miał jeszcze pomoc w kłusowaniu. Kilku nas, myśliwych, w tym powiecie, nie zdołamy przestrzeganiem i szanowaniem podnieść zwierzostanu, bo czego my się dochowamy, to w sąsiedztwie padnie, a wszelkie prośby i przedstawienia w tym względzie pozostają bez skutku. To też nie pozostaje mi chyba nic innego obecnie, jak podawać w przyszłości wszelkie przekroczenia ustawy w naszym organie „Łowiec“ do publicznej wiadomości (o co najusilniej prosimy: Red.)

Przy końcu czuję się w obowiązku złożenia podziękowania c. k. wachmistrzowi żandarmeryi p. Stefanowi Dziadyk, który o ile może, stara się zapobiedz kłusownictwu, dowodem czego odebranie już w tym roku 11 strzelb.

Gorajce 15. Marca 1888. *E. M.*, delegat.

Bortniki, poczta Chocimirz.

Wracając wczoraj saniami po błocie do domu, ubiłem jastrzębia *(falco peregrinus)*. Sezon kniejowy zamknięty, ale przez tę ostrą zimę mnóstwo zwierzyny padło, bo kto żeru nie podawał a w lesie nie rąbano, to sarny zginęły z głodu, jak się trafiło u nas w okolicy, że leśniczy idąc z gajowym znalazł jednego dnia 4 sztuki: 2 siuty i 2 kozły, z tych dwie sztuki nieżywe, zaś dwie tak osłabione, że wcale przed ludźmi nie uciekały, a po dokładnej rewizyi okazało się, że nie były ani postrzelone, ani zmotyliczone, suponuję więc, że z głodu i silnym mrozom uległy. Jastrzębi-gołębiarzy złapałem tej zimy 8; prócz tego wpadły do samotrzasku dwa myszołowy włochate, 2 sowy płomieniste, 1 sowa zwykła i 1 sowa uralska. Przyznam się, że przy używaniu samotrzasku już przez lat kilkanaście, nie zdarzyło mi się, żeby tak różnorodne drapieżniki w nim się łapały.

Takiej ilości lisów, jak tego roku, także nie pamiętam. Wiele zginęło ich z jesieni na polowaniach, ale w zimie pokazało się ich jeszcze więcej, do tego stopnia, że jeżdżąc z chartami popołudniową porą łatwo można było spotkać 20 do 30 sztuk. Mam smycz chartów, którą trzymam jedynie dla lisów, i pomimo złego pola, bo może było 10 do 12 dni miękkich, uszczułem 22 sztuk. Dwa lata temu złapałem 31 sztuk, ale nie było ich tyle co tego roku. Prawdopodobnie zeszły one z gór do nas, bo tam spaść musiały bardzo wielkie śniegi, a u nas było mnóstwo myszy z jesieni. *T. S.*

„Do puli“. Z powiatu Włoszczowskiego, w Królestwie, piszą do „Gazety Kieleckiej“: W ostatnich dniach dozwolonego polowania odbyły się łowy w majątku Czaryż i Krzepin, w sześć fuzyj, z takzwanem „do puli“. Kto zabił zająca-samicę płacił rubla, kto zaś nie zabił ani jednej samicy brał pulę. Po skończonem polowaniu okazało się zabitych samic dwadzieścia kilka, a pulę wzięło dwóch kawalerów, którzy przy zysku mogą się pochwalić, że nawet dla zajęczej płci pięknej znaleźli się z uprzejmością. Z tego nowego sportu wszyscy byli zadowoleni, nawet ci, którzy na jednem stanowisku bili po cztery samice, a może ci nawet najwięcej. Przytem zwierzostan okazał się świetnym, szczególniej w Krzepinie, gdzie zające literalnie sypały się na myśliwych stadami. Zapewne dlatego jest ich tak dużo, że co paręset kroków po lesie mają nałożoną koniczynę, a na polu mnóstwo stert z łubinem.

Z pod Jaworowa.

W pobliżu domu mojego jest staw; niegdyś miał być duży, obecnie zamulony, pełen młak i oparów, w których roi się od piskorzów. Na oparzeliskach tych mimo wielkich tegorocznych śniegów i mrozów, woda nie zamarzła wcale. Pomyślałem: spróbujmy szczęścia, tam pewnikiem lis być musi. Któż jednak wypłoszy nam mykitę, gdy nowy obyczaj nie pozwala trzymać ogarów. Bryś i małpa (nazwy kundlów) „potrafią“ wyszukać, mówi mi ich ochmistrz, gumienny. Ano — mówię mu, podłóż psy od strony lasku, do którego stawisko pełne trzcin i rogoży przylega. Ja z synem i jego nauczycielem zajmiemy stanowiska. Naraz kundle poczęły niby głosem gonić, a równocześnie odezwały się dzwonki odczepione od sani, któremi gumienny zawzięcie wymachiwał. Skutkiem tego niezwykłego gonu wyszło na nas 9 lisów, z czego ubiliśmy 4. Za parę dni ponownie spróbujemy szczęścia, albowiem wiem z doświadczenia, że osobliwie pod wiosnę, gdy w dodatku śniegi wielkie i myszy jak w tym roku mało, ciągną ku moczarom lisy, częstokroć ze stron dalekich, żerując za piskorzami a i żabami nie pogardzając. Częstokroć, gdy szczęście posłuży, uda się „ł a p i m y s z c e“ pochwycić i kaczkę, gdy na oparach żeruje. Pocieszne zdarzenie widział syn mój i jego nauczyciel w początkach Lutego b. r. Zawierucha się jakoś uciszyła, więc wyszli obaj celem użycia ślizgawki na lodzie niewielkiej halawki. Stado dworskich kaczek chlapało się po oparzysku. Naraz — jak błyskawica spada na kaczki jastrząb „łapikura“. Porwał kaczkę. Reszta stada, o ile z natury niedołężny ich chód na to pozwalał, podążyła w kępę trzciny. Lecz, jak to mówią „w p a d ł y z d e s z c z u p o d r y n n ę“, tam bowiem przywitał je paszczą czatujący na nie lis. Porwawszy jedną, znikł w trzcinach. Kaczki zrozpaczone, szukały u ludzi ratunku, omal pod nogami im się kryjąc. *Z. D. G....*

Popieluchy, w Lutym.

W dobrach Wgo Jana Brzozowskiego, Popieluchy na Podolu rossyjskiem, zabito w ciągu roku 1887., t. j. od 1. Lutego 1887. do 1. Lutego 1888.: kszyków 1, słonki 3, kuropatw 8, przepiórek 5, kozłów (kulami) 23, kozłów (śrótem) 6, wypadkiem koza 1. Wilki zjadły 16 sarn. Dalej zabito zajęcy 327 (w 4ch dniach padło 309, reszta w ciągu roku). Drapieżników padło na polowaniach i skutkiem tępienia przez straż: Puhaczy 2, orłów 18, jastrzębi 64, wilków 5, lisów 39, psów 81, kotów 5. Razem sztuk 604. Strzelb odebrano od kłusowników 9 sztuk.

Rachunek pieniężny myśliwstwa wypadł jak następuje:

Rozchody: Nagroda straży za tępione drapieżniki . .			42 rs. 75 k.
Kupno padliny i trucizny na wilki . . .			10 „ — „
Straży za odebranie strzelb od kłusowników			21 „ — „
Koszt 4 dni polowania: wódka . . .		18 rs. 30 k.	
furmani i nagonka .		70 „ 45 „	88 „ 75 „
Strzałowe:			
Za 23 kozły zastrzelone kulą po 1 rs. 50 k.		34 rs. 50 k.	
„ 6 kozłów zastrzelon. śrótem po 75 „		4 „ 50 „	
„ 327 zajęcy po . . . . 15 „		49 „ 05 „	
„ 8 kuropatw po . . . . . . 15 „		1 „ 20 „	
w ogóle strzałowe . . .		89 rs. 25 k.	
z tego strzałowe leśniczym			39 „ 75 „
„ „ leśnym			59 „ 50 „
Przychody: Za 150 zajęcy . .	61 25		
„ 5 kozłów . .	32·51	94·76	
Strącić ekspedycyę i koszta sprzedaży	31·12	62·64	
Sprzedaż skór lisich		62·—	
Myśliwstwo w 1887 r. kosztuje		127·11	
Sumy zgodne . . .		251·75	251 rs. 75 k.

NB. Zachowano na kuchnię i rozdano kozłów 24
zajęcy 177

Leśniczy.

TREŚĆ: Klęska. — Z ubiegłej zimy. — Bronisław Komorowski. W stepie. — J. Szlezygier. O ochronie zwierzyny. — Ubysz. Reb Duwid. — Korespondencye. — Kronika.

Odpowiedzialny za redakcyę: **Bronisław Komorowski.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Związkowa Drukarnia we Lwowie.